PL ISSN 0867-0404
Nr indeksu 365661

# magazyn 997 kryminalny

NR 23 (1918) • 1 XII 1991 • CENA 3500 ZŁ

- POLICJA CELNA
- STRZELCY WYBOROWI
- ZA PLECAMI PREZYDENTA
- SPREJOWCY
- TROPAMI MORDERCY CD.
- ZABÓJSTWO O ŚWICIE
- PORACHUNKI CINKCIARZY

23 1991

zdj. K. Mokrzyszewski

## FRANCUZI W LEGIONOWIE

czytaj na s. 12—13

Sprawca ciągle na wolności

# KTO ZABIŁ BLIŹNIACZKI?

Przez prawie trzy miesiące, jakie minęły od zabójstwa gliwickich bliźniaczek: Sylwii i Roksany, Policji nie udało się poznać i schwytać mordercy. Sprawca (sprawcy?) zbrodni wciąż jest na wolności.

Policjanci KRP w Gliwicach przeprowadzili przez ten czas rozmowy z ponad tysiącem osób, które zgłaszały się do jednostek Policji w całym kraju z chęcią pomocy w rozwikłaniu zagadki. Niestety, w powodzi sprzecznych sygnałów przedsięwzięcie stało się beznadziejne.

Na podstawie okruchów rozmaitych informacji opracowano 5 portretów pamięciowych osób spostrzeżonych w pobliżu miejsca znalezienia zwłok dzieci, w sobotę, ostatniego sierpnia i pierwsze dni września. Dzięki nim trafiono do młodzieńca, który o świcie, wychodząc z lasu nie opodal Czechowic zatrzymywał samochody, chcąc dojechać do Gliwic. Porannym autostopowiczem okazał się jednak zabłąkany uczestnik dyskoteki.

Przez moment zaintrygowało policjantów konkretne doniesienie człowieka, któremu kumpel w przypływie szczerości nad kielichem wyznał ponoć, iż zgładził dziewczynki. Informator okazał się wszak postacią niegodną zaufania. Wkrótce za kradzieże i włamania sam wylądował w areszcie...

Największe nadzieje wiązali funkcjonariusze ekipy śledczej z oględzinami szałasu odkrytego w odległości około 200 metrów od parowu skrywającego ciała sióstr. Sterty zgromadzonych w nim przedmiotów świadczyły, że był on stale zamieszkany. Lokatorzy leśnego schronienia wynieśli się zeń dopiero wtedy, gdy w ów odludny zakątek dotarły policyjne patrole. Tezę tę uwiarygodniła znaleziona tam gazeta z datą 2 września.

Wydawało się, iż na trop mieszkańców szałasu doprowadzi gazeta z nazwiskiem i imieniem pewnej kobiety na marginesie oraz książka z dedykacją. Odszukano jej właściciela. Wyznał, że sprzątając, wyrzucił ją na śmietnik. Tam prawdopodobnie znalazł ją mieszkaniec szałasu.

Kobiety pracujące w szkółce leśnej w Przezchlebiu rozpoznały wśród rupieci z szałasu okopcony garnek ukradziony im niegdyś z pakamery. Przypomniały sobie mężczyznę, kręcącego się często po okolicznych chaszczach. Ustalono, że jest on pracownikiem PGR i nie ma z zabójstwem nic wspólnego.

W sumie skonstruowano i sprawdzono ponad 30 wersji osobowych. W gronie podejrzewanych znaleźli się przez chwilę... dwaj policjanci z Wrocławia oraz przyjaciel rodziny Salów. Doskonale znając bliźniaczki nie uczestniczył w ogólnosąsiedzkich poszukiwaniach, natomiast później skrzętnie nagrywał na magnetofon komunikaty policyjne ogłaszane w radio i telewizji.

Uzyskano również operacyjną wiadomość o dwóch mieszkańcach Kamienia Pomorskiego, którzy w okolicach Gliwic ukrywali się przed Policją. Zatrzymano obu. Byli poszukiwani listem gończym za kradzież złomu wartości 5 milionów złotych.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym spodziewano się przełomu w śledztwie. W zasadzkę policyjną wpadł bowiem 40-letni Jan G., mieszkaniec szałasu. Przesłuchania i badania poligraficzne wykluczyły go jednak z kręgu ewentualnych zbrodniarzy.

Najwięcej zamieszania sprawił w śledztwie niejaki Jan K., który we wtorek, 1 października, zjawił się w redakcji „Dziennika Zachodniego" obwieszczając z przejęciem: „Piłem z mordercą bliźniaczek!". Gazeta kupiła sensację w ciemno. Nazajutrz wydrukowano rewelację Jana K. *„Kajtka" — Andrzeja miałem na oku od dłuższego czasu. Znam z gazet portret pamięciowy zabójcy Sylwii i Roksany. Jeden z rysopisów pasował idealnie do mojego gościa. Zgadzały się nawet buty i spodnie. Wiek od 25 do 30 lat, włosy, rysy twarzy. Jestem pewien, że to on, zresztą pod wpływem wódki prawie mi to wyznał. W poniedziałek zameldowałem się w gliwickiej prokuraturze. Powiedziano mi, żebym się nie wtrącał. Dochodzenie trwa i koniec, kropka. Z komendy Policji po prostu mnie wyrzucono.*

Wiadomość poruszyła do głębi opinię publiczną. Oto uczciwy obywatel niemalże na widelcu podsuwa mordercę organom ścigania, a te gwiżdżą sobie na wszystko!

Zarówno przedstawiciele prokuratury, jak i Policji kategorycznie zaprzeczyli posądzeniom o bezczynność i lekceważenie faktów. Rzeczywiście Jan K. kilkakrotnie kontaktował się z pracownikami KRP, gdzie, nawiasem mówiąc, znano go niczym zły szeląg. Mieszkaniec Knurowa, nierób, nałogowy alkoholik i psychopata (powyższe choroby wymienia świadectwo lekarskie wystawione w toszeckim ośrodku dla nerwowo i psychicznie chorych), porzucony przez żonę obracał się w środowiskach gliwickich „dynksiarzy" — amatorów wszelakich trucizn zawierających choćby zapach alkoholu. Oni to obdarzyli go tyleż wdzięcznym, co adekwatnym do postaci przezwiskiem „Przygłupa". On sam mawiał o sobie: „Czarny Janusz".

Początkowo jego zeznania o „Kajtku" — Ryszardzie T. jako stuprocentowo pewnym zabójcy Sylwii i Roksany potraktowano z należną powagą. Nie miały jednak nic wspólnego z rzeczywistością, co udowodniły wielokierunkowe i wnikliwe czynności sprawdzające. Powiedziano o tym Janowi K. wprost. Nie rezygnował jednak ze zdobycia sławy i obiecanych 20 milionów złotych nagrody. Jeszcze czterokrotnie odwiedzał komendę. Pojechał sprzedawać swe majaczenia do Zabrza, a potem do Próchnika w województwie przemyskim. Pod koniec września znalazł posłuchanie u redaktora największej na Śląsku gazety.

Policja uważa temat Jana K. za wyczerpany. Żmudna robota toczy się nadal. Obecnie trwają drobiazgowe ustalenia tożsamości wszystkich uczestników pogrzebu dziewczynek, zarejestrowanych przez kamerę wideo. Być może w tłumie zapłakanych ludzi skrył się morderca?

— Na razie wszystkie nasze hipotezy się załamują — mówi komisarz Jan Oszczypała, naczelnik WRO. — Nie tracimy jednak wiary w sens naszych wysiłków i wciąż wierzymy w pomoc społeczeństwa.

A tej pomocy w miarę upływu dni coraz mniej, bo czas osłabia pamięć o wstrząsającej zbrodni i niesie wciąż nowe zdarzenia.

**ADAM K. PODGÓRSKI**

**PS** Będziemy nadal informować o szczegółach śledztwa. Tymczasem ponawiamy apel o przekazywanie Policji wszelkich informacji, które pomogą ująć zabójcę gliwickich bliźniaczek.

# DZIECI Z UKRAINY W KSP

Niedawno warszawscy policjanci gościli kilkudziesięcioosobową grupę chłopców zamieszkałych na Ukrainie, głównie w okolicach Żytomierza. Chłopcy ci pochodzą z rodzin polskich lub polsko-ukraińskich. W Polsce przebywali na krótkim wypoczynku zorganizowanym przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w porozumieniu z zakonem oo. Oblatów pw. św. Józefa, mającym swą siedzibę w Kielcach.

Gości przywitał, pełniący obowiązki komendanta stołecznego Policji, nadkom. Wiktor Mikusiński. Opiekun grupy ks. Tadeusz Skwierczyński naświetlił trudną sytuację rodzin polskich na Ukrainie. Policjanci z różnych pionów opowiadali chłopcom o metodach wykrywania przestępstw, prezentowali praktycznie niektóre z wielu rozwiązań w zabezpieczeniu śladów ujawnionych na miejscu zdarzenia. Goście wykazywali duże zainteresowanie w trakcie pokazu uzbrojenia i nowoczesnych środków przymusu bezpośredniego niezbędnych w pracy każdego policjanta. Zwiedzili też Stanowisko Kierowania Wydziału Prewencji KSP, gdzie zostali zapoznani z zasadami pełnionej tam służby. Spotkanie zakończyło się poczęstunkiem oraz wymianą drobnych upominków.

Inicjatorem spotkania w siedzibie warszawskich policjantów z ramienia MSW był podinsp. Zbigniew Chwaliński.

**ZOFIA OSTROWSKA**
**zdj. K. Mokrzyszewski**

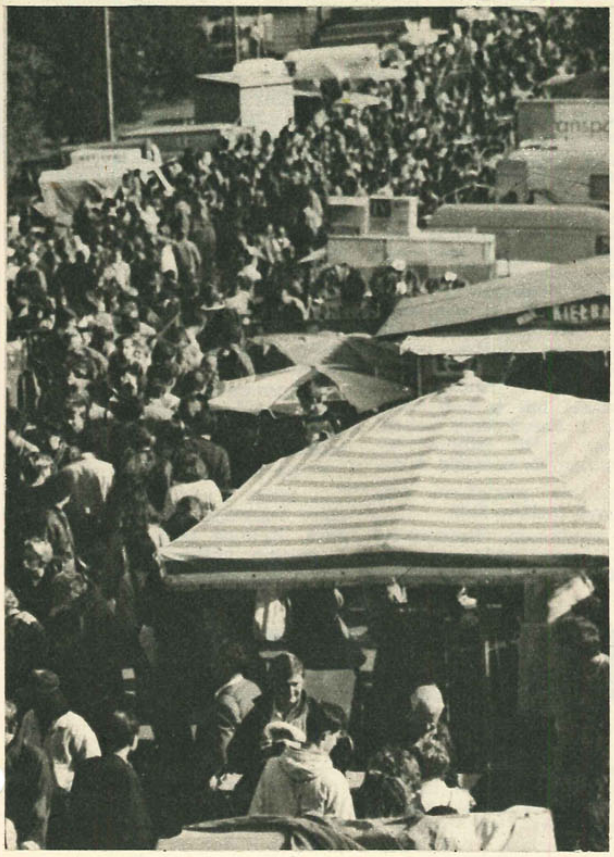

# CUDZOZIEMCY POD LUPĄ

Handel nie zna granic, nie rozróżnia płci, wieku ani rasy — chciałoby się powiedzieć po kilkugodzinnej wędrówce zatłoczonymi dróżkami po Stadionie X-lecia w Warszawie. Organizatorzy akcji, w której uczestniczyli przedstawiciele Policji, Straży Granicznej, Urzędu Ceł postanowili sprawdzić, kto i na jakich zasadach handluje na koronie stadionu oraz uliczkach bocznych.

Po podliczeniu wyników uzyskanych przez dwie grupy kontrolne okazało się, że spośród wylegitymowanych 310 cudzoziemców nielegalny pobyt w naszym kraju udowodniono dziewięciu Rosjanom i Wietnamczykom, siedmiu Mongołom i czterem Rumunom. Zatrzymano wiele osób, które nie miały przy sobie żadnych dokumentów. Umacnia się przekonanie, że cudzoziemcy pracują w Polsce „na czarno", zorganizowani w przestępcze gangi (szefowie zabierają podległym ludziom paszporty) bądź też nie noszą dokumentów, w których znajdują się już wpisy o bezpowrotnym opuszczeniu Polski.

Jak dowiedzieliśmy się w Komendzie Głównej Straży Granicznej, podobne działania będą kontynuowane.

**jur.**
**zdj. P. Szlachetko**

## UWAGA CZYTELNICY!

Archiwum Wschodnie i Samodzielna Pracownia Dziejów Ziem Wschodnich II RP Instytutu Studiów Politycznych PAN ogłaszają konkurs na pamiętnik „Kresy Wschodnie pod okupacjami 1939—1945". Chodzi nam zwłaszcza o opis dnia codziennego pod okupacją (sowiecką, niemiecką, a także litewską), form biernego i czynnego oporu, zmian w stosunkach własnościowych, niszczenia polskich instytucji gospodarczych, kulturalnych, oświatowych czy kościelnych, osadnictwa z głębi ZSRR na Kresach, a także innych istotnych problemów według uznania Autorów i widzianych przez pryzmat ich własnych doświadczeń.

Nie publikowane prace (pożądane kserokopie ewentualnych dokumentów i reprodukcje zdjęć), opatrzone własnoręcznym podpisem należy nadsyłać do 30 kwietnia 1992 roku pod adresem Centrum Dokumentacji AW, Krakowskie Przedmieście 25, 00-071 Warszawa (tel. 26-24-41 w. 359) z dopiskiem „Kresy". Wyniki konkursu zostaną podane w niezależnym miesięczniku historycznym „Karta" w czerwcu 1992. Po ich ogłoszeniu wszystkie pamiętniki stają się własnością Archiwum Wschodniego (z zachowaniem praw autorskich uczestników), gdzie zostaną zabezpieczone i skatalogowane. Autorom najciekawszych pamiętników zostaną złożone oferty druku całości lub fragmentów. Nagroda I wynosi 5 mln zł, II — 3,5 mln zł, III — 2 mln zł. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego rozdziału nagród.

Pod auspicjami Instytutu Historii PAN i Archiwum Wschodniego powstaje „Lista strat ziemiaństwa polskiego 1939—1956". Obejmuje ona poległych, zaginionych, zamordowanych, zmarłych w obozach, na zesłaniu itp. Na „Liście" winny znaleźć się osoby (wraz z najbliższą rodziną) z terytorium całej II Rzeczypospolitej, a także spoza kraju, które po 1918 roku były właścicielami (współwłaścicielami) majątków ziemskich bądź dzierżawcami (administratorami), o ile pochodzili z rodzin ziemiańskich.

Materiały należy przesyłać: **Krzysztof Jasiewicz, ul. Stawki 21 m. 32, 01-040 Warszawa.** Prosimy o czytelne pismo.


**OGŁOSZENIE**

**Funkcyjne M-3 (35 m²), Warszawa, oś. Bernardyńska z telefonem zamienię na większe, funkcyjne. Warunki do uzgodnienia. Tel. służb. 45-61-26, dom. 40-36-22.**

**UWAGA!**

**Redakcja „Magazynu Kryminalnego 997" i „Gazety Policyjnej" pilnie przyjmie wykwalifikowaną maszynistkę.**

**Wkrótce w sprzedaży 26 numer „Gazety Policyjnej" Polecamy w nim:**

GAZETA policyjna

● Cykle: „Prawo i praktyka", „Języki sekretne" ● Rozmowa z dyrektorem Departamentu Policji Ruchu Drogowego i Prewencji KGP ● Policja a kryzys ● Genetyczna daktyloskopia ● Kradzieże i przemyt dzieł sztuki w ZSRR ● Honorowi krwiodawcy ● Ciekawostki o pracy Policji ● Kryminały ● Horoskop ●


## UWAGA PRENUMERATORZY Z JEDNOSTEK POLICYJNYCH!

10 grudnia upływa termin składania zamówień na prenumeratę **„Magazynu Kryminalnego 997"** oraz **„Gazety Policyjnej"** w I kwartale 1992 roku.

Kolporterzy z jednostek policyjnych przesyłają zamówienia ilościowe na I kwartał 1992 r. pod adresem redakcji: **ul. Ogrodowa 28/30, 00-896 Warszawa (fax 36867).**

„Magazyn Kryminalny 997" — cena 27 000 zł

„Gazeta Policyjna" — cena 9000 zł.

Należność (po potrąceniu 10 proc. rabatu) wpłacają na konto: **Okręgowy Oddział NBP Warszawa 1052-7995-130 BGTiZ** (prenumerata).

## Rozmowa z dyrektorem Departamentu Kontroli Celnej i Podatków Głównego Urzędu Ceł LESZKIEM TOKARSKIM

# POLICJA CELNA

**— Cła i polityka celna państwa są od pewnego czasu punktem zainteresowań szerokich rzesz społeczeństwa. Poważny wpływ na to miały decyzje o zniesieniu wiz i podwyżce pułapu kwot legalnego wywozu walut.**

— Nie tylko. Zwiększył się poważnie i nadal rośnie przepływ towarów w obydwie strony. Cła stały się ważkim instrumentem regulacji importu i ochrony krajowego rynku, m.in. płodów rolnych. Generalna modyfikacja nastąpi wówczas, gdy Polska znajdzie się w gronie państw stowarzyszonych, a następnie zintegrowanych w EWG.

**— Tymczasem jednak kwitnie przemyt. Ponadto cwaniacy i ryzykanci zarabiają miliardy złotych na oszustwach podatkowych i niedoskonałości przepisów celnych. Co się robi, by temu zapobiec, a przynajmniej, aby ten proceder ukrócić?**

— Robi się wiele, lecz nie wolno zapominać o radykalnych zmianach w granicznym ruchu pasażerskim i towarowym. Zmiany te wiążą się nierozerwalnie z rozwojem funkcji rynku. Wielki wpływ na obroty ma rosnący import dóbr konsumpcyjnych w kontekście martwoty krajowej wytwórczości.

Ostatnio mnożą się wieloosobowe gangi usiłujące obejść prawo celem zdobycia wielkich pieniędzy. Skutki afery alkoholowej są wciąż żywe, dają o sobie znać w różnych postaciach. Spirytus i niektóre jego przetwory są objęte zakazem przywozu do naszego kraju. Lecz nie ma prawie dnia, by nie podejmowano próby przełamania barier zaporowych. Obok finezji w maskowaniu takich prób, mamy również do czynienia z prostactwem połączonym z brawurą.

**— O udanych próbach świadczą liczne krajowe punkty rozcieńczania, przetwarzania i butelkowania sprowadzonego nielegalnie spirytusu. Jest on następnie sprzedawany w sklepach i na bazarach. Czy nie dowodzi to, iż kontrola graniczna, a ściślej biorąc — celna, jest słaba?**

— Tak i nie. Skończyły się czasy, gdy mogliśmy pod tym względem postępować według własnego widzimisię. Obecnie musimy dążyć do maksymalnej sprawności w przepływie ludzi i towarów, a jednocześnie — do zaostrzania kontroli.

**— Jak to możliwe?**

— Właśnie to jest problemem. Radio codziennie krytykuje naszych sąsiadów ze Wschodu za utrudnienia w ruchu granicznym. Nie możemy iść tym śladem, choć zdajemy sobie sprawę z ofensywy cwaniaków i przemytników usiłujących sprowadzić do Polski nielegalnie zarówno spirytus, jak i olbrzymie ilości paliw płynnych oraz wyrobów elektronicznych, samochodów i akcesoriów. Gangi „przedsiębiorczych" ekspertów oraz importerów złożone z obywateli polskich, zatrudniają byłych funkcjonariuszy służby celnej oraz prawników. Ci specjaliści biorą grube pieniądze za wyszukiwanie luk w przepisach prawnych i konstrukcję metod, które mają zmylić czujność ludzi sprawujących kontrolę celną.

**— Więc nie zwalniacie doświadczonych fachowców?**

— Nie zwalniamy. Staramy się zapobiec takim reformom. A niskie płace wiodą niektórych na pokuszenie. Liczymy się z pojedynczymi przypadkami łapownictwa wśród celników. Każdy ujawniony fakt jest konsekwentnie rozliczany. Winnych przekazuje się prokuratorom.

Wróćmy jednak do sedna problemu. Chcąc konsekwentnie zwalczać przemyt i inne kombinacje graniczno-celne, a równocześnie usprawniać ruch, musimy ciężar kontroli przesunąć z granicy do wewnątrz kraju. Podobnie czynią służby celne wielu państw. My już rozpoczęliśmy takie działania. Rzecz oczywista, przy ogromnej, wydatnej pomocy funkcjonariuszy Policji. Zwie się to powtórną kontrolą, realizowaną wieloma metodami.

Przeprowadziliśmy kilka takich akcji, przede wszystkim w rejonach usytuowanych w pobliżu przejść granicznych z Niemcami.

**— Co to dało?**

— Około 3 miliardów złotych, które wpłynęły do Skarbu Państwa. Kolejna taka akcja trwa. Z działań akcyjnych przejdziemy w systemowe.

**— Kiedy?**

— Nie tak prędko. Trudno byłoby przecież angażować do tej sprawy nadmiernie funkcjonariuszy Policji. A własnych mamy wciąż za mało. By sprostać

# POLICJA INFORMUJE

## (Wybór zdarzeń kryminalnych)

### HORROR

● 30 października w Bydgoszczy znaleziono wiszące w szopie zwłoki Danuty B. Samobójstwo było upozorowane. Podejrzany o dokonanie zbrodni Adolf F. został aresztowany.

● 6 listopada w Warszawie do mieszkania Alicji L. (hurtownia papierosów) wtargnęło 2 uzbrojonych mężczyzn krzycząc: „To jest napad! Wszyscy na ziemię". W wyniku zamieszania napastnicy oddali 2 strzały raniąc śmiertelnie Ryszarda Ś. Na miejscu zdarzenia zabezpieczono 2 łuski kal. 7,65 mm.

● Tego samego dnia w stolicy w mieszkaniu Jadwigi P. znaleziono zwłoki jej matki Zofii R. (lat 82). Kobieta miała związane ręce i nogi, a w ustach knebel. Przyczyną śmierci było zadławienie. Z mieszkania zrabowano złotą biżuterię i kilka książeczek PKO.

● 7 listopada w Rytwianach (woj. tarnobrzeskie) Marianna B. (lat 62) kilkakrotnie uderzyła siekierą Mieczysława Ch. (lat 68) powodując jego zgon, po czym popełniła samobójstwo przez powieszenie.

### ŚMIERĆ PO BUTAPRENIE

● 7 listopada we Wrocławiu w parku przyszkolnym znaleziono zwłoki Łukasza M. (lat 15), ucznia I klasy Zespołu Szkół Ogrodniczych. Ustalono, że poprzedniego dnia wspólnie z kolegą Rafałem Z. (lat 15) „wąchali butapren", co doprowadziło do utraty przytomności i śmierci Łukasza.

### HORROR RODZINNY

● 31 października w m. Rogowa-Kaleń (woj. radomskie) w domku letniskowym ujawniono zwłoki Krystyny R. Śmierć nastąpiła w wyniku użycia broni palnej. Podejrzanym jest mąż denatki Jan R., którego zatrzymano.

● 1 listopada w Zduńskiej Woli (woj. sieradzkie) znaleziono zwłoki Bożeny M. z raną postrzałową skroni. Na miejscu zabezpieczono pistolet kal. 5,6 mm. Prokurator aresztował podejrzanego, męża ofiary, Ireneusza M.

● 2 listopada w m. Henryków (woj. stołeczne) pijany Tadeusz C. przewrócił na podłogę swą żonę Alinę, która broniąc się udusiła napastnika szalikiem (mąż miał go na szyi).

● 3 listopada w Świdnicy (woj. wałbrzyskie) znaleziono zwłoki Zbigniewa D. z ranami kłutymi brzucha. Ustalono, że rany zostały mu zadane 31 października przez teściową denata Antoninę K. (lat 69). Sprawczynię zatrzymano.

● Na wniosek KRP Poznań-Wilda prokurator rejonowy aresztował Antoniego R., który jest podejrzany o to, że 4 listopada powiesił w mieszkaniu swoją upośledzoną umysłowo córkę Grażynę R. (lat 38).

### ZUCHWAŁE NAPADY

● 2 listopada w Zielonej Górze do portierni hurtowni „Elektromisu" weszło 2 zamaskowanych osobników, którzy sterroryzowali nożem i pistoletem strażników, związali ich i zażądali wydania kluczy. Wobec odmowy przecięli małżowinę uszną Bronisławowi T. Sprawcy skradli papierosy wartości ponad 320 mln zł.

● 5 listopada w m. Kopanina (woj. pilskie) 4 sprawcy napadli na mieszkanie Zbigniewa J. Oddali strzał z broni gazowej, pobili właściciela i jego matkę, dokonali następnie rabunku. Pokrzywdzonych umieszczono w szpitalu.

### MŁODZIEŻOWE ROZRÓBY

● 8 listopada w Kętrzynie (woj. olsztyńskie) 30-osobowa grupa młodzieży (od 12 do 19 lat), uzbrojona w pałki i łańcuchy zaczepiała przechodniów. W celu przywrócenia porządku w rejon skierowano funkcjonariuszy KRP i Oddziału Prewencji z Olsztyna. O godz. 22.00 przywrócono spokój. Zatrzymano 10 uczestników awantur (1 osadzono w areszcie).

zadaniu, służba celna winna wzrosnąć o sto procent. Konieczna jest także rozbudowa naszej bazy nadającej się do skomplikowanych kontroli pojazdów (kanały, bocznice, rampy). Dużo oczekujemy po komputeryzacji.

Wzorem Policji rozwijamy służbę operacyjną w administracji celnej. Istniała ona, co prawda, w większości urzędów celnych, ale stany kadrowe tej służby były nader skromne. Tworzymy, przy okazji rozwoju, nową jakość, według wzorców zachodnich. Będzie to Policja Celna, odpowiednio wyszkolona i wyposażona. Ze względu na brak własnych ośrodków szkoleniowych, będziemy i pod tym względem korzystać z pomocy Policji. Chodzi głównie o takie przedmioty, jak: kryminalistyka, obserwacja, śledztwa i dochodzenia. Mamy przyrzeczoną pomoc ze strony fachowców zachodnich.

Będąc tak przygotowaną, służba celna wkroczy do krajowych baz importerów i eksporterów celem kontroli legalności przywozu i wywozu. Do 18 sierpnia br. nie mieliśmy takiego prawa. Obecnie już je posiadamy.

**— Z tego wynika, że na granicy będziemy mieć do czynienia tylko z pierwszym etapem przedsięwzięć celnych?**

— W wielu przypadkach — tak. Sporo przestępstw zwanych celnymi dokonywanych jest w przedsiębiorstwach i innych podmiotach gospodarczych. Oto niedawno funkcjonariusze Urzędu Celnego w Rzepinie ujawnili fikcyjny eksport polskiego spirytusu. Pomysłowym „eksporterem" była gorzelnia w Lesznie. Cały zamysł polegał na obrocie dokumentów. Chodziło o stemple celne na papierach. Wartość transakcji opiewała na około 4 miliardy złotych. Gdyby zamysł się udał, gorzelnia zostałaby zwolniona z podatku obrotowego, co pozwoliłoby jej osiągnąć poważne, nienależne zyski. Do pełnego wykrycia owej afery przyczynili się w znacznym stopniu funkcjonariusze KWP w Poznaniu.

Współdziałanie z Policją, do tej pory bardzo dobre, będzie dla nas również w przyszłości niezbędne.

**— Jakim zagrożeniom służba celna będzie musiała stawić czoło?**

— Przestępczości o charakterze aferowym. Ale nie tylko. Wyrasta przed nami wielkie niebezpieczeństwo w postaci przemytu narkotyków. Według naszych i niemieckich prognoz, Polska, w ciągu pięciu-dziesięciu lat, stanie się jednym z głównych szlaków przerzutowych „białej śmierci". Właśnie dziś, tj. 30 października br., celnicy, wspólnie z funkcjonariuszami Policji w Gdyni, ujawnili na statku bandery kolumbijskiej 109 kg kokainy. Statek przybył do nas z Dalekiego Wschodu. Ładunek narkotyku był przewożony na dnie jednego z kontenerów. Odbiorcami tego towaru mieli być handlarze z Pragi Czeskiej.

Daleki Wschód—Polska—Niemcy — to jeden ze szlaków narkotycznych, funkcjonujących już dziś na dużą skalę. Drugi wiedzie z krajów EWG do Związku Radzieckiego, który, jak się wydaje, będzie niezwykle chłonnym rynkiem dla przetworzonych i uszlachetnionych narkotyków.

I wreszcie, musimy opanować nasilający się, prawie z dnia na dzień, przemyt produkowanej w Polsce, na zachodnich surowcach, amfetaminy.

**— Czy służba celna jest do tej walki przygotowana?**

— Niestety, w stanowczo za niskim stopniu. Nawet sfora psów wyszkolonych pod kątem ujawniania narkotyków sprawy nie załatwi. Podobnie, jak w innych państwach, potrzebni są doświadczeni celnicy z wysoką klasą profesjonalizmu. Tę kadrę będziemy kształcili już od początku przyszłego roku.

**— W niedalekiej przeszłości praktykowano wspólne odprawy celne z funkcjonariuszami czesko-słowackimi, niemieckimi i radzieckimi. Czy to zdawało egzamin?**

— Była to całkowita fikcja, gdyż celnicy poszczególnych, umawiających się państw, tak czy inaczej bronili własnych interesów, ignorując interesy partnera. Dziś jest identycznie. Odmienność zainteresowań jest olbrzymia. Np. celnicy radzieccy popierają przywóz dóbr konsumpcyjnych, hamują zaś wywóz. My — odwrotnie. Daleko nam do takich umów celnych, jakie np. obowiązują pomiędzy Szwecją i Norwegią.

**— Dziękuję za rozmowę.**

**EDWARD NOWAK**
**zdj. Krzysztof Mokrzyszewski**

## NAPAD NA PLEBANIĘ

● 4 listopada w m. Nieborów (woj. skierniewickie) 3 zamaskowanych mężczyzn wtargnęło na plebanię, gdzie pobiło i związało ks. Juliana W. oraz gospodynię Władysławę Z. Sprawcy skradli sprzęt audiowizualny, alkohole oraz pieniądze na łączną sumę 10 mln zł. Księdza umieszczono w szpitalu.

## SWÓJ NA SWEGO

● 4 listopada KRP w Częstochowie została powiadomiona o napadzie dokonanym przed 2 dniami na hotel „Lynx". Do pokoju, w którym przebywało 8 nieletnich turystów z ZSRR, wtargnęło 2 mężczyzn, prawdopodobnie również obywateli radzieckich, którzy pod groźbą użycia broni palnej zrabowali 800 tys. zł.

## ARSENAŁ U NARKOMANA

● 5 listopada w Lublinie w mieszkaniu narkomana Roberta W. policjanci znaleźli uzbrojony granat moździerzowy, ręczny granat bojowy, 2 zamki kbk AK, 1 magazynek karabinowy, bombę kasetową, 31 sztuk naboi 7,62 mm itp. Roberta W. zatrzymano w areszcie.

## REALIZACJA SPRAW

● Na wniosek KWP we Wrocławiu prokurator aresztował Henryka K. i Kazimierza C. (obydwaj karani), którzy podejrzani są o to, że od czerwca do listopada br., dokonali na terenie różnych województw kilkudziesięciu włamań do kaplic i kościołów, skąd skradli przedmioty o wartości co najmniej 1 mld zł.

## WIELKIE ŁUPY

● 27 października warszawska Policja powiadomiona została o włamaniu do mieszkania Jerzego P. Sprawcy skradli 500 mln zł, waluty obce, biżuterię, sprzęt komputerowy i odzież skórzaną na ogólną sumę 1 mld zł.

● 1 listopada w Gdańsku włamano się do punktu sprzedaży biletów komunikacji miejskiej. Skradziono 950 tys. biletów o wartości 1,5 mld zł.

● 7 listopada w Warszawie ujawniono włamanie do pracowni złotniczej Marka K. Suma strat wynosi około 1 mld zł.

## PRZESTĘPSTWO CELNO-SKARBOWE

● 5 listopada w Bielsku-Białej na terenie spółki cywilnej „Elton" policjanci zatrzymali samochód ciężarowy należący do Barbary D. z Hamburga. Jego kierowca wspólnie ze Zdzisławem K. rozładowali 1375 magnetowidów o wartości 5 mld zł. Ustalono, że transport przekroczył granicę, a przy odprawie zgłoszono tranzyt do ZSRR. Kierowcę i przedstawiciela firmy „Elton" osadzono w areszcie.

## OCHRONIARZE PRZESTĘPCAMI

● 3 listopada na miejskim targowisku w Ostrołęce policjanci zatrzymali w pościgu mężczyznę płacącego fałszywymi banknotami o nominale 1 mln zł, który w trakcie zatrzymywania usiłował postrzelić funkcjonariusza. W wyniku użycia broni przez policjantów Arkadiusz W. (lat 26) został ranny w udo. Okazał się on dyrektorem Agencji Ochrony Mienia „Magnum" w Płońsku. W wyniku działań operacyjno-rozpoznawczych ustalono 4 współpracowników zatrzymanego — fałszerzy pieniędzy. Aresztowano pracowników firmy „Magnum". Macieja B. i Edwarda Sz. Natomiast Hanna F. i Mirosław M. są poszukiwani.

## KOMANDOSI W AKCJI

● 5 listopada w Pruszczu Gdańskim na terenie jednostki wojskowej szer. Arkadiusz N. (lat 21) napadł na wartownika, któremu odebrał automat wraz z amunicją i postrzelił go w pośladek i udo. Sprawca wszedł do świetlicy z zamiarem popełnienia samobójstwa. Arkadiusz N. został obezwładniony przez policjantów z pododdziału antyterrorystycznego KWP w Gdańsku. Podczas akcji nikt nie odniósł obrażeń.

## UDANY POŚCIG

● 6 listopada na trasie Gromadka—Rżyniec (woj. legnickie) st. post. Dariusz M. jadąc na służbę prywatnym volkswagenem podjął pościg za ładą na niemieckich tablicach rejestracyjnych kierowaną przez znanego mu Grzegorza P., który 25 października zbiegł z konwoju. Po około 8 km ucieczki Grzegorz P. stracił panowanie nad kierownicą i uderzył w skarpę. Został zatrzymany i przekazany do aresztu śledczego.

oprac. MAT

# 997

## KRONIKA

Pod redakcją
TADEUSZA NOSZCZYŃSKIEGO

**W jednym z poprzednich programów z cyklu „997" zaprezentowano trzy portrety pamięciowe gwałciciela działającego na terenie woj. sieradzkiego. Dzięki pomocy telewidzów udało się go zatrzymać. Zanim to jednak nastąpiło, podobna seria miała miejsce w woj. kaliskim. Początkowo sądzono, że może to ten sam mężczyzna, który jedynie zmienił teren. Konfrontacje z ofiarami wykluczyły jednak sieradzkiego gwałciciela z grona podejrzanych o te nowe przestępstwa. Szukamy więc nadal osobnika działającego w okolicach Czarnylasu.**

### SERIA ZGWAŁCEŃ

zaczęła się 26 marca br. W lesie, grożąc nożem, nie ustalony dotąd mężczyzna zgwałcił wracającą ze szkoły na rowerze uczennicę. Przy okazji zabrał jej 120 tys. zł i wypuścił powietrze z kół roweru, by nie mogła udać się za nim w pościg.

Drugi przypadek zanotowano 15 czerwca br. w stanicy harcerskiej w Piaskach Strzegliczkach koło Ostrowa Wielkopolskiego. Około godziny 13.00, kiedy drużyna harcerska przebywała w lesie na podchodach, ten sam nie ustalony mężczyzna podszedł do jednego z namiotów i przy pomocy noża zmusił opalającą się harcerkę do opuszczenia terenu obozu...

7 lipca br. znów miała miejsce podobna tragedia w Czarnylesie. Tym razem ofiarą zboczeńca padła 10-letnia dziewczynka, która na chwile oddaliła się od rodziców podczas spaceru po lesie.

Dwa tygodnie później, 20 lipca także w Czarnylesie przestępca ten zaatakował dwie dziewczyny. Te jednak wspólnie obroniły się przed napastnikiem i natychmiast wszczęły alarm. Mimo to przepadł bez śladu.

Po raz kolejny dał o sobie znać 21 października br. Tego dnia zgwałcił swoją kolejną ofiarę w Czarnylesie. Z policyjnych ustaleń wynika, że ma około 25—35 lat, jest szczupły, nosi ciemnoblond włosy czesane do góry. Raz widziano go z lekkim wąsikiem, innym razem bez zarostu. Czasami korzystał z motocykla lub motoroweru. Widziano go także w czerwonym fiacie 126p. Przeważnie zasłaniał twarz czapką z daszkiem. Ostatnio jednak udało się odtworzyć wizerunek jego całej twarzy, stąd dwa prezentowane portrety pamięciowe.

### TAJEMNICZE BMW

13 czerwca br. okazał się pechowy dla państwa Jarząbów mieszkających we wsi Dąbie w gminie Radomyśl Wielki. Tego właśnie dnia sąsiadka pracująca przed domem nagle zauważyła wychodzących z willi po drugiej stronie podwórka zamaskowanych mężczyzn. Przez chwilę znieruchomiała ze zdziwienia, zaraz potem zaalarmowała domowników. W pogoń rzuciło się kilku mężczyzn pracujących nie opodal na budowie. Pościg trwał kilka minut. Złodzieje biegli przez pola w kierunku szosy prowadzącej z Dąbia do Radomyśla. Tutaj wskoczyli do białego BMW wymalowanego w kolorowe paski i zniknęli z pola widzenia goniącym, którzy zdążyli jedynie dostrzec, iż samochód posiadał niemiecką rejestrację zaczynającą się od liter „HHH 19...".

Rozpoczęte przez Policję śledztwo w tej sprawie doprowadziło m.in. do odtworzenia portretu pamięciowego jednego ze sprawców. Okazało się bowiem, że charakterystyczne BMW widziano w okolicy kilka dni przed włamaniem. Np. dwaj pasażerowie tego samochodu dzień wcześniej odwiedzili sklep motoryzacyjny we wsi Zdziarzec. Obaj mówili po polsku. Wszystko wskazuje na to, że od kilku dni obserwowali dom Jarząbów, by poznać zwyczaje całej rodziny. 13 czerwca ich samochód widziano już o godzinie 6.00 w miejscu, z którego obaj przestępcy odjechali z łupem.

Stanowiło go 2,5 kilograma złota w wyrobach jubilerskich, (głównie pierścionki i biżuteria radziecka), futro z lisów ciemnych, kożuch damski, brązowy, magnetowid marki Funai, numer fabryczny 44614096 oraz kilka tysięcy dolarów. W zamian trudno powiedzieć czy w charakterze rekompensaty, czy raczej przez roztargnienie, pozostawili na miejscu przestępstwa pistolet gazowy Jaguar kaliber 9 mm o numerach 06534 CAT 2638. Warto byłoby sprawdzić, gdzie i kiedy oraz komu pistolet ten został sprzedany, jeśli oczywiście transakcja ta została dokonana w Polsce w jednym ze sklepów handlujących bronią.

Zapamiętany przez mieszkańców wsi mężczyzna z portretu pamięciowego miał około 30—35 lat, 175 cm wzrostu, czarne proste włosy czesane na bok i czarne bujne wąsy. Jego kolega był nieco starszym, około 40-letnim mężczyzną o blond włosach i krępej budowie ciała.

## NAIWNOŚĆ BEZ GRANIC

Sposób działania Zbigniewa Bafii, trzydziestokilkuletniego mężczyzny kilka razy karanego za oszustwa, był tak samo niewiarygodny, jak skuteczny. Odwiedzał placówki służby zdrowia, w podchwytliwy sposób wyciągał od portiera informacje o kobietach, najczęściej pielęgniarkach, które mają rodzinę za granicą, następnie odwiedzał je i przedstawiał się jako pracownik urzędu celnego. Twierdził, że w urzędzie znajduje się paczka od rodziny, bardzo bogata przesyłka, za którą oficjalnie należałoby zapłacić kilkanaście milionów zł cła. Ale jest sposób, żeby tego uniknąć. Oferował załatwić to za kwotę od 500 do 1500 tysięcy zł.

Działał na terenie całego kraju. Kilkudziesięciu kobietom mówił dokładnie to samo, a ich reakcje były, niestety, także identyczne. Wyciągały zaskórniaki, pożyczały od znajomych i płaciły nie pytając o żadne pokwitowanie czy choćby tylko okazanie legitymacji pracownika urzędu celnego, po czym więcej tego mężczyzny, nie mówiąc o paczce, nie widziały.

Dopiero w Kaliszu znalazła się pielęgniarka, która nie dała mu wiary i wyprosiła z pokoju. Był jednak tak pewny siebie, że przyszedł do niej ponownie następnego dnia, tj. 17 czerwca br. Wówczas kobieta dała się namówić, wyszła, by rzekomo pożyczyć pieniędzy, po czym wezwała Policję.

Zbigniew Bafia jest już więc zatrzymany i nie o jego odszukanie tu chodzi. Przyznał się do kilkudziesięciu identycznych oszustw, natomiast do tej pory zgłosiło się dopiero 10 oszukanych kobiet. Apelujemy więc do pozostałych o złożenie zeznań.

## NAPAD NA SKLEP

ze sprzętem elektronicznym przy ulicy Wekslarskiej 1 w Tarnowie miał miejsce 9 września br. Tego właśnie dnia sklep obserwowało dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał zaczesane do góry włosy, związane w charakterystyczny kucyk. Obaj napastnicy wykorzystali moment, w którym pracownik ochrony wyszedł na ulicę ze sklepu, weszli do środka, obezwładnili właściciela gazem paraliżującym, a następnie zrabowali 85 milionów zł. Obaj bandyci uciekli ulicą Zakątną w kierunku ul. Bernardyńskiej. Wszystko to działo się około godziny 17.00. Mężczyzna z kucykiem miał 20—21 lat, 175 cm

wzrostu, był szczupły, nosił ciemnoblond włosy. W kąciku lewego oka miał pieprzyk bądź wytatuowaną kropkę. Tego dnia ubrany był w komplet dżinsowy i żółtą koszulkę z namalowanym sercem i napisem „Levis".

## 50 MILIONÓW NAGRODY

Informację o zabójcach wyznaczyła rodzina zamordowanej w nocy z 17 na 18 czerwca br. pani Ireny Klimczuk. Kobieta ta została napadnięta, pobita i związana we własnym mieszkaniu. W wyniku obrażeń głowy zmarła. Przestępcy splądrowali mieszkanie. Prezentujemy 4 portrety pamięciowe podejrzanych.

Pierwszy z nich ma około 35 lat, 175 cm wzrostu, ciemne, kasztanowe włosy, jest szczupły, miał na sobie czarną, skórzaną kurtkę ze stójką.

Drugi — 180 cm wzrostu około 45—50 lat, siwe włosy z widoczną łysiną, orli nos, odstające uszy i siwiejące wąsy.

Trzeci — niski ma około 160 cm wzrostu, 30 lat, jest otyły z okrągłą twarzą i czarnymi włosami.

Ostatni z podejrzanych ma około 35 lat, 170 cm wzrostu, długie, opadające na kark włosy, na twarzy blizny jakby po ospie. Ubrany był w kurtkę z brązowych łatek.

Ktokolwiek mógłby udzielić informacji w prezentowanych powyżej sprawach, proszony jest o kontakt z naszą redakcją, Komendą Główną Policji lub najbliższą jednostką.

**zdj. autor**

# Z TOWAREM DO ARESZTU

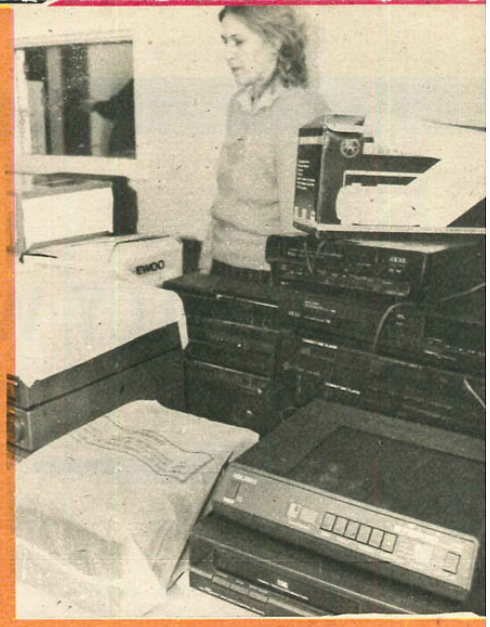

Nie wszyscy spędzali wyborczą niedzielę 27 października br. w domu przed telewizorem. Tego dnia ok. godz. 19.30 KRP Warszawa Praga-Północ otrzymała anonimowy telefon o włamaniu do sklepu ze sprzętem radiowo-telewizyjnym przy ul. Kijowskiej 11.

Pod wskazany adres natychmiast skierowano 2 załogi radiowozów w sile 6 policjantów. Od frontowej strony sklepu, znajdującego się naprzeciw Dworca Wschodniego nie zauważono niczego podejrzanego: kłódki i kraty były nienaruszone. Wówczas funkcjonariusze postanowili sprawdzić obiekt od strony zaplecza. Podczas kontroli piwnic ich uwagę zwróciły podejrzane głosy, dochodzące z głębi. W jednym z prywatnych pomieszczeń piwnicznych zobaczyli dwóch mężczyzn z większą ilością sprzętu audiowizualnego, kaset itp. Indagowani przez policjantów bezczelnie oświadczyli, że sprzęt jest ich własnością, czego potwierdzeniem jest prywatna piwnica, w której się znajduje. Dalsza kontrola piwnic wykazała, że w pobliżu pomieszczenia rzekomych właścicieli znajduje się pokaźnej wielkości dziura w stropie. Gdy jeden z policjantów przecisnął się przez wybity w suficie otwór, znalazł się w pomieszczeniu magazynowym sklepu. Tu stanął oko w oko z trzecim „właścicielem" sprzętu, myszkującym po magazynie.

Wszyscy trzej włamywacze, którzy wpadli na pomysł „podlewarowania" sklepu, zostali przewiezieni wraz z „towarem" do Komendy Rejonowej Policji Warszawa Praga-Północ przy ul. Cyryla i Metodego. Podjęto niezwłocznie czynności związane z zatrzymaniem przestępców oraz wszczęto czynności dochodzeniowo-śledcze. Bliższe szczegóły śledztwa nie mogą być na razie ujawnione. Wiadomo, że sprawcami włamania „na lewar" byli trzej młodzi mężczyźni w wieku 20—21 lat (przy czym jeden z włamywaczy mieszkał w bloku, w którym znajduje się okradziony sklep): Dariusz R., Robert J. i Wojciech Ś.

Wartość skradzionego sprzętu audiowizualnego wynosi około 100 mln zł.

**WAG**
**zdj. K. Potocki**

## KTO O NIM WIE?

Zrozpaczona matka, Laskowska Józefa, zam. w Bielawie Dolnej, 59-930 Pieńsk, poszukuje syna, który 17 września na rowerze odjechał w nieznane. Wiek syna 27 lat, wzrost 176 cm, tęgi, barczysty. Cierpi na chwilowe zaniki pamięci. Znak szczególny: brak kawałka kciuka i paznokcia u lewej ręki.

Wszelkie informacje na temat zaginionego prosimy kierować do najbliższej jednostki policyjnej lub redakcji.

**(p.)**

# STRZELCY WYBOROWI

Rodowód słowa sniper sięga XVIII wieku, kiedy to żołnierze brytyjscy stacjonujący w Indiach zabawiali się polowaniem na bekasy. Po angielsku bekas nazywa się snipe. Wyśmienici strzelcy zyskiwali zaszczytne miano snipera, które z czasem stało się najpopularniejszym określeniem strzelca wyborowego. Podobne określenie — gołębiarz, występuje w języku polskim. W konfliktach zbrojnych, począwszy od wojny secesyjnej w Stanach Zjednoczonych, zaczęto wykorzystywać strzelców wyborowych, bez których nie może się obecnie obejść żadna armia. Konieczność szkolenia i wykorzystywania ich w działaniach wojennych jest sprawą bezdyskusyjną. Okazało się jednak, że i w czasie pokoju sniperzy mają pełne ręce roboty. Rozwój przestępczości i terroryzmu pociągnął za sobą konieczność wykorzystania strzelców wyborowych w policji, siłach bezpieczeństwa i jednostkach antyterrorystycznych.

Realia tej służby wpłynęły znowu na zmianę ich określenia. Słowa sniper w terminologii niewojskowej, używa się w krajach anglojęzycznych, a szczególnie w USA, dla określenia przestępcy lub szaleńca strzelającego do niewinnych ludzi. Aby uniknąć skojarzeń, w siłach policyjnych i im podobnych używa się więc nowego określenia strzelca wyborowego — counter sniper (przeciw sniper). Ci właśnie strzelcy wzięli na swe barki ciężar trudnej, odpowiedzialnej i bardzo kontrowersyjnej służby. Działając w sytuacjach, gdzie zawodzą wszelkie inne środki lub podjęcie działań taktycznych pociąga za sobą ryzyko śmierci wielu ludzi, counter sniper eliminuje osoby powodujące śmiertelne zagrożenie. Eliminuje również takich ludzi, którzy działają z zamiarem dokonania zamachu czy aktu terrorystycznego. Przykładem tego były akcje strzelców wyborowych francuskiej grupy antyterrorystycznej GIGN oraz jednostki antyterrorystycznej policji izraelskiej. Strzelcy tych oddziałów zmuszeni byli zastrzelić terrorystów znajdujących się w autobusach pełnych zakładników. W tego typu sytuacjach strzela się, by spowodować natychmiastową śmierć. Strzelec nie jest jednak mordercą czy katem. Podejmuje on w sytuacji ostatecznej działanie ratujące ludzkie życie lub uniemożliwiające narażenie go na wielkie niebezpieczeństwo.

Doświadczenie policyjne uczy, do czego zdolny jest nawet ciężko ranny bandyta, szczególnie gdy znajduje się w stanie szoku lub pod wpływem narkotyków. Rozwój broni, celowników i amunicji przeznaczonej dla counter sniperów poszedł więc w kierunku osiągnięcia precyzyjnego trafienia oraz spowodowania nagłej śmierci.

Rozwój przestępczości w naszym kraju zdaje się kierować ku światowemu poziomowi, więc i u nas wysoce prawdopodobna jest sytuacja, w której Policja będzie zmuszona użyć strzelców wyborowych. Wydaje się jednak, że nasz system prawny nie jest do tego przygotowany. Pomijając fakt, że poza jednostkami antyterrorystycznymi strzelców takich w polskiej Policji nie ma, nie wyobrażam sobie ich użycia, które nie pociągnęłoby za sobą poważnych kłopotów. Poza tym, ile potrwa, zanim prokurator czy dowódca policyjnej operacji odważy się w Polsce wydać polecenie użycia strzelców?

Nadzieje na to, że unikniemy takiej konieczności nie wydają się słuszne. Na taką sytuację Policja musi zostać przygotowana już dziś. Nie tylko technicznie, ale i psychicznie. Utrzymujące Policję społeczeństwo musi być pewne, że sprosta ona ewentualnemu zagrożeniu. Okrutna prawda, poparta doświadczeniami świata dowodzi, że czasem counter sniper musi zabrać życie, by uratować niewinnego człowieka. Strzelec taki musi jednak reprezentować wysoki poziom profesjonalizmu, musi zostać gruntownie przeszkolony. Wojskowe metody szkolenia i broń, używane w naszym kraju, są nieodpowiednie do tego celu. Policja potrzebuje zarówno nowej broni, jak i instruktorów. Wyszkolenie counter snipera pociąga za sobą koszty, ale czy Policja ma prawo być nieprzygotowana na sytuację ostateczną?

**PAWEŁ MOSZNER**

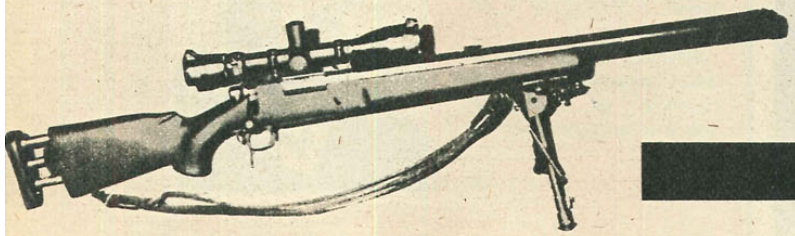

USA

# ANIELE BOŻY STRÓŻU MÓJ...

**Wbrew tytułowi, to nie będzie modlitwa, lecz tekst poświęcony policjantom i tym, którzy – rzecz dotyczy głównie Stanów Zjednoczonych – usiłują ich zastąpić. Tu od razu wyznanie: moje uczucia w stosunku do policji w ogóle, a amerykańskiej w szczególności, są mieszane. Nie budzi mojej sympatii nonszalancki, uzbrojony i zradiofonizowany po zęby, pobrzękujący kajdankami stróż porządku publicznego – w biały dzień, w miejscu spokojnym i bezpiecznym; ten sam osobnik po zmroku, w zaułku kiepskiej dzielnicy, w pobliżu drabów stojących przed knajpą lub kinem, wywołuje niemal euforię!**

Alfred Hitchcock wyznał kiedyś „Nie jestem przeciw policji, ja się jej tylko boję".

Kiedy na dalekim przedmieściu Los Angeles zobaczyłem tuż obok siebie policjanta z wymierzonym w jakiś punkt rewolwerem, to choć wiedziałem, że na muszce ma kogo należy, poczułem się również lekko zagrożony.

Policjant, także bez broni w ręku, stwarza samą swoją obecnością psychologiczne napięcie. Gorzej może być tylko wtedy, kiedy jest potrzebny, a go nie widać.

W ciągu licznych podróży po świecie bywało, że marzyłem o widoku policjanta. Zdarzało się to notorycznie późnym wieczorem i nocą w amerykańskich metropoliach. Potem wracałem do Polski i nie odczuwałem potrzeby spotkania konstabla, a nawet wolałem go nie oglądać; zresztą w porównaniu ze światem, z Ameryką, byliśmy przez lata krajem względnie bezpiecznym. To chyba minęło bezpowrotnie — dziś Marszałkowska, żeby nie wspomnieć niektórych przedmieść czy bocznych ulic, nie różni się już od Brooklynu; tu i tam można „za niewinność" oberwać po łbie i stracić zawartość kieszeni.

Istnieje teraz, jak wiadomo, manko w stanie liczbowym Policji i superata przestępców. Włamania do mieszkań stały się epidemiczne, samochody znikają z ulic w magiczny sposób, przejażdżka tramwajem ogałaca z torebek i portfeli nawet średnio przytomnych pasażerów; całe miasta, a nie tylko niektóre ich części, stały się kryminogenne.

Czas na samoobronę! Żeby była ona naprawdę skuteczna, trzeba by mieć nie tylko alarmy, pistolety gazowe i inne instrumenty, ale trzecie oko z tyłu głowy...

W Stanach Zjednoczonych wymyślono samoobronę zorganizowaną. Grupy mieszkańców tworzą doraźne komitety patrolujące, lecz przede wszystkim obserwujące pewien wybrany obszar, a na nim ulice i domy. To bodaj tradycja czasu pionierów „Dzikiego Zachodu", kiedy nie bardzo ufano i liczono na działania szeryfów i ich ludzi, a bardziej na własne siły.

I tak w wielu amerykańskich miastach pojawiły się znaki ostrzegawcze, informujące, że każda podejrzana aktywność będzie natychmiast meldowana urzędowi szeryfa; ostrzeżeniu towarzyszy rysuneczek człowieka w masce i w nasuniętym na czoło kapeluszu; to podejrzane indywiduum przekreślono czerwoną kreską, jak na samochodowym zakazie parkowania.

Znak rozmnożył się w Ameryce i można go zobaczyć zarówno w San Diego, jak i w Atlancie. Należy wątpić, czy odstrasza kogoś, kto ma zbrodnicze zamiary. Płoszy jednak obcych, potencjalnych kandydatów naruszania porządku publicznego. Typowym przykładem jest kierowca samochodu, który czegoś szuka lub zatrzymuje się pozornie bez celu — taki kierowca musi liczyć się z uprzejmo-ostrzegawczym pytaniem kogoś z mieszkańców lub przejeżdżającego policjanta: „Czy możemy ci w czymś pomóc?"

Na straży swoich dzielnic, a raczej grupy domów, stoją przeważnie emeryci. Często korzy-

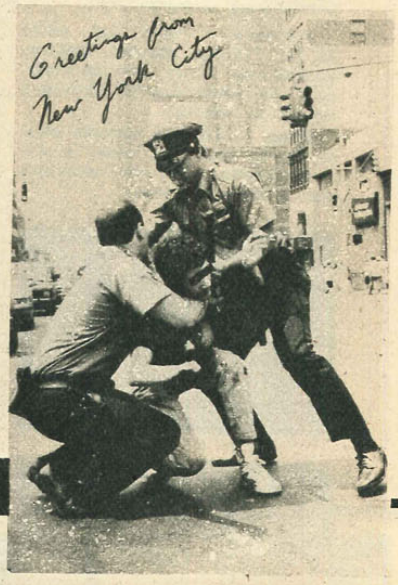

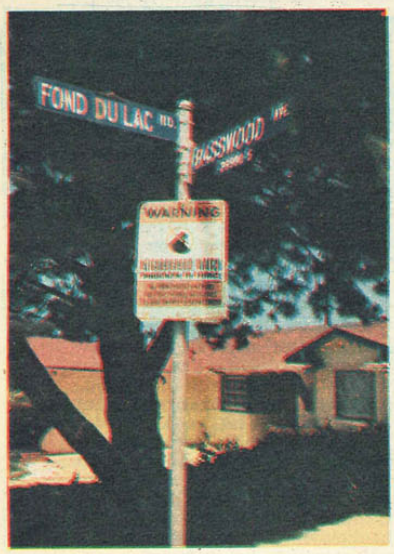


stają z radiotelefonów i systemu wzajemnych ostrzeżeń. Gnębią policję meldunkami, ale — bywa — zapobiegają przestępstwom i wykroczeniom. Zresztą, w Kalifornii na przykład, co trzecia rodzina posiada w domu broń palną. Sprawne środki łączności i dobre współdziałanie z policją są jednak skuteczniejsze od broni. Ale jeżeli telefony nie działają, a funkcjonariusz w komisariacie opędza się od „natrętów" — wszystko na nic.

Samoobrona przejawia się także w innej postaci. W wielu miastach, na przykład w kolejach podziemnych, działają patrole młodych przeważnie ludzi, nazywających siebie „Guardian Angels" (pisaliśmy już o tym na łamach „MK 997"). Operują zawsze grupie, nie mają broni, ale ie pięści i znają wschodnie sztuki walki. Często zakładają paramilitarne czapki i bluzy. Budzą respekt łobuzerii i chuliganów, przywołują do porządku awanturujących się pijaków. Określa się ich słowem „vigilanci", czyli „czujni osobnicy". Są czymś w rodzaju straży obywatelskiej.

W tym miejscu należy zauważyć, że w Stanach Zjednoczonych zjawisko tzw. znieczulicy występuje niepomiernie rzadziej niż w naszym kraju. Obywatele amerykańscy mają rozwinięte poczucie społecznej odpowiedzialności.

Kończy się jednak ono przeważnie na progach wielkich gett. A w USA ogromną większość zbrodni popełnia się w czarnych i latynoskich dzielnicach dużych aglomeracji.

W Ameryce powiadają, że napadany lub ograbiany jest tylko człowiek, który w niewłaściwym czasie znalazł się w niewłaściwym miejscu. Oby takich miejsc było jak najmniej także w Polsce.

**OLGIERD BUDREWICZ**

**Europa Wschodnia**

# WZROST PROSTYTUCJI

**Prostytucja w krajach wschodnioeuropejskich znacznie rozwinęła się po liberalizacji, która nastąpiła w wyniku upadku dawnych reżimów komunistycznych. Od końca 1989 r. obserwuje się w Europie Wschodniej wiele nowych form i metod uprawiania prostytucji, zainspirowanych wpływami państw kapitalistycznych – pisze korespondentka AFP.**

Na Węgrzech i w Czecho-Słowacji jak grzyby po deszczu wyrastały salony masażu, które w rzeczywistości są po prostu domami publicznymi, zatrudniającymi znaczną liczbę niepełnoletnich dziewcząt oraz cudzoziemek — często przybyłych nielegalnie. We wszystkich byłych krajach komunistycznych pojawił się nowy rodzaj sutenerstwa, powiązanego z mafią rosyjską; często członkowie tej mafii pilnują zawodowych tancerek, zatrudnionych na dansingach, w barach i w innych lokalach rozrywkowych, a świadczących także usługi seksualne.

Wiele spośród tych kobiet zostało przyciągniętych na Węgry obietnicą późniejszego uzyskania kontraktu i pracy na Zachodzie. Na ogół nie mają one ani dokumentów, ani pieniędzy, aby móc przeżyć i pozostają na łasce sutenerów, pracując w węgierskich, czecho-słowackich nocnych lokalach. Zarabiają tam i tak dużo więcej, niż zdołałyby zarobić przy największym wysiłku w Związku Radzieckim lub w Rumunii, tj. w krajach swego pochodzenia. Policja węgierska wskazuje, że większość tego rodzaju kobiet — nielegalnych imigrantek, które w różnej formie uprawiają prostytucję — wywodzi się z tych właśnie dwóch państw.

W Bułgarii i w Polsce rozwinęła się natomiast znacznie tzw. prostytucja turystyczna, gdy bardzo rozszerzyły się kontakty z resztą Europy, a w krajach tych przybyło bogatych cudzoziemców, płacących twardą walutą.

Jednak wszelkie rekordy w dziedzinie prostytucji i przemysłu usług seksualnych biją Węgry, gdzie oficjalnie prostytucja jest zakazana. W okresie zaledwie 4 tygodni tamtejsza policja zamknęła 4 spośród ok. 60 salonów masażu, będących zwykłymi burdelami. Właścicielom tych lokali postawiono zarzut nielegalnego posiadania broni palnej oraz stręczenia do nierządu.

Węgierski król pornografii, Laszlo Voros, od końca maja br. znajduje się w areszcie. Człowiek ten zgromadził fortunę dzięki swojemu imperium seksu, zatrudniając na ogół w charakterze personelu terapeutycznego w licznych domach schadzek młode kobiety, najczęściej nieletnie lub imigrantki z Rumunii. Wiele z nich ujawniło policji, że właściciel i jego podkomendni zmuszali je do uprawiania prostytucji.

W Budapeszcie młode obywatelki Związku Radzieckiego — Rosjanki i przedstawicielki innych narodowości — znajdują się pod ochroną mafii rosyjskiej, liczącej od 100 do 200 osób. Mafia ta zaopatruje swoje podopieczne w fałszywe kontrakty, a następnie narzuca im pracę w charakterze personelu rozrywkowego w węgierskich nocnych lokalach, gdzie dziewczyny te muszą pracować za zapłatę dużo niższą w porównaniu z poborami, jakie otrzymują prostytutki węgierskie.

W Czecho-Słowacji bardzo rozpowszechnioną formą prostytucji są — zwłaszcza w Pradze — salony masażu erotycznego. W stolicy Czecho-Słowacji można doliczyć się co najmniej tuzina takich lokali, do których uczęszcza na ogół klientela zachodnia, a zwłaszcza niemiecka. Niektóre z tych lokali specjalizują się w praktykach sadystyczno-masochistycznych, proponując klientom 40-minutowe seanse rozrywkowe w cenie od 10 do 17 dolarów od osoby. W lokalach tych pracuje wyższa kasta dziewcząt, ponieważ dla najpodlejszych prostytutek zarezerwowana jest ulica: często można napotkać młode Cyganki, które oferują swoje usługi lub — jeśli są bardzo młode — proponują usługi świadczone przez swoje starsze siostry, w których imieniu prowadzą z potencjalnym klientem negocjacje nt. warunków finansowych. W Pradze policja doliczyła się ok. 30 tys. prostytutek.

W Rumunii tamtejsza prasa już od roku informuje o wielu przypadkach podejmowania przez zawodowe tancerki pracy w Budapeszcie, Stambule lub na Cyprze, która to praca kończy się bardzo często prostytucją. Prawo rumuńskie zakazuje uprawiania prostytucji, ale władze zajmują w tej sprawie postawę tolerancyjną.

W Bułgarii młode dziewczyny za pośrednictwem prywatnych firm bułgarskich udają się do Szwecji, Italii lub Grecji, gdzie rzekomo czeka na nie praca zgodna z kwalifikacjami. W rzeczywistości natychmiast wpadają w szpony sutenerów i kończą jako prostytutki. W Sofii wiele prostytutek pracuje na międzynarodowych trasach wiodących do Jugosławii i Turcji. W lecie wiele z nich zajmuje kwatery w pobliżu wybrzeża Morza Czarnego, stanowiąc konkurencję dla turystycznych prostytutek z Polski i Związku Radzieckiego.

W Warszawie nowym zjawiskiem w dziedzinie usług seksualnych jest coraz większa liczba dziewcząt przybywających ze Związku Radzieckiego, które posługują się samochodami marki Łada z zaciemnionymi szybami i korzystają z ochrony radzieckich sutenerów. Prawo polskie karze wyłącznie stręczenie do nierządu, a więc ryzykują tylko owi opiekunowie. Prostytucja rozwija się także na wybrzeżu Morza Bałtyckiego, gdzie zwłaszcza latem przebywa wielu turystów skandynawskich, których taka przyjemność kosztuje w zasadzie grosze w porównaniu z wieloma innymi miejscami w Europie.

**B.**

# Tropami EMILA PASTERNAKA

2

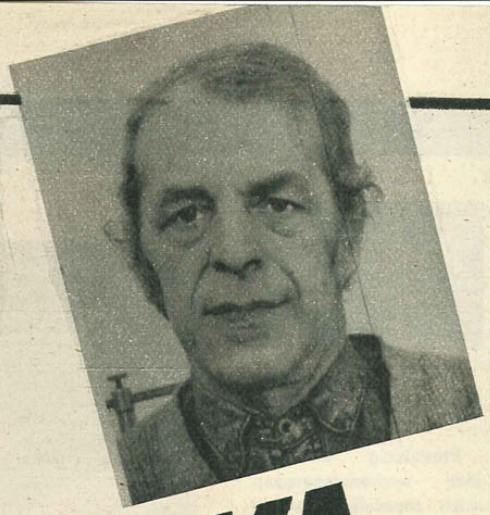

Maciej Jagielski należał do bogatszych mieszkańców Kudowy-Zdroju. Widać opowieści o posiadanej przez niego fortunie dotarły także do przestępczego półświatka, bo kiedy pewnej nocy niezidentyfikowani złodzieje włamali się do mieszkania pana Jagielskiego, ich łupem padł słój, w którym znajdowało się co najmniej półtora kilograma biżuterii.

Wszczęto oczywiście dochodzenie, lecz po kilku tygodniach zostało ono umorzone z powodu niewykrycia sprawców. Maciej Jagielski nie pogodził się jednak tak łatwo ze stratą bogactwa, które było dorobkiem jego życia. Wyznaczył sowitą nagrodę za wskazanie sprawców włamania. Łudził się, że może ktoś połakomi się na oferowane przez niego niebagatelne pieniądze i naprowadzi go na ślad zuchwałych złodziei. Kiedy i to nie przyniosło żadnego rezultatu, zdecydował się wyłożyć kolejne miliony i wynająć prywatnego detektywa. Był to fachowiec nad fachowce, Sherlock Holmes znad Wisły, który rozwikłał w swym życiu już niejedną aferę. Jednym słowem był nim sam... Emil Pasternak.

Nie udało się ustalić, jakich argumentów użył Pasternak, by przekonać Jagielskiego o swoich zdolnościach detektywistycznych. Współpraca obu panów w każdym razie zaczęła się doskonale. Już na samym początku prywatnego śledztwa Jagielski poinformował detektywa Pasternaka o swoich podejrzeniach, które żywił w stosunku do jednego z sąsiadów. Młody mężczyzna mieszkający w pobliżu jego zabudowań należał do tych co nie sieją, nie orzą, a mimo to pieniądze same wpadają im do kieszeni. Trudnił się drobnymi kradzieżami, o czym doskonale wiedzieli sąsiedzi z racji odbywanych przez niego wyroków pozbawienia wolności. Najprawdopodobniej te fakty skierowały na niego podejrzenia Jagielskiego.

Czy trzeba było o tym dwa razy mówić Pasternakowi? Oczywiście nie. Natychmiast podjął zasugerowany przez zleceniodawcę trop i rozpoczął bardzo niekonwencjonalne śledztwo. Najpierw uprowadził podejrzanego do opuszczonego, niezamieszkanego domu, gdzie więził i torturował go przez kilka dni. Męczarnia trwała do chwili, kiedy Bogu ducha winny człowiek przyznał się w końcu do okradzenia Jagielskiego. Tego właśnie potrzebował Pasternak. Nie obchodziło go, że zeznanie wymuszone przy użyciu siły jest nieważne w świetle prawa, a za takie działanie prywatny detektyw może zasiąść na ławie oskarżonych. A torturowany mężczyzna za cenę wolności plótł opowieści o napadzie na mieszkanie Jagielskiego, które Pasternak skrupulatnie nagrywał na magnetofon, a następnie sprzedał w odcinkach zleceniodawcy, jako ewidentny dowód złapania złodzieja. Ale bogatemu rzemieślnikowi nie chodziło o odnalezienie sprawcy, lecz o odzyskanie skradzionego półtora kilograma złotej biżuterii. W sumie za dostarczone taśmy Pasternak zainkasował ponad 600 tysięcy złotych. A była to wtedy kwota odpowiadająca czarnorynkowej cenie czterech dużych fiatów.

Jagielski zorientował się jednak, że to mistyfikacja i zgłosił milicji doniesienie o oszustwie i niezgodnych z prawem praktykach prywatnego detektywa. Znowu wszczęte zostało dochodzenie, znowu działanie recydywisty Pasternaka nie znalazło pobłażania w oczach wymiaru sprawiedliwości. Zapadł surowy wyrok — pięć lat pozbawienia wolności.

Z więzienia wyszedł jesienią 1988 roku. Tym razem zamieszkał w Nysie. Rychło znalazł pracę u lokalnego przedsiębiorcy budowlanego Kazimierza Jagodzińskiego. Zajmował się malowaniem, układaniem glazury, drobnymi remontami. Po godzinach pracy dorabiał sobie jako tzw. stacz kolejkowy. Kupował deficytowe towary, a następnie odsprzedawał je z pokaźnym zyskiem znajomym albo na lokalnym targowisku.

Dopiero teraz po kilku latach ludzie przypomnieli sobie fakty, które rzuciły światło na osobę Emila Pasternaka i uświadomili sobie, że mógł ich spotkać taki sam los jak krakowskiego biznesmena, Mariusza K.

— W czasie remontu przedszkola w Nysie, wieczorem, kiedy zostaliśmy już sami na terenie budowy, Pasternak wywołał mnie na poddasze, by pokazać uszkodzone kafelki — wspomina dzisiaj Kazimierz Jagodziński. — Dopiero po jakimś czasie zauważyłem, że stoi on za mną, a obok niego znajduje się solidny, metalowy wieszak. Coś mnie tknęło i tak na wszelki wypadek odsunąłem wieszak dalej. Minęło może pół minuty... Pasternak ponownie postawił go blisko swojej prawej ręki. Taka sytuacja powtórzyła się jeszcze dwa, trzy razy. Wydawało się to wszystko o tyle dziwne, że nie było żadnej potrzeby oglądania przeze mnie kafelków. Kilka dni później jechałem razem z Pasternakiem samochodem z Nysy do Prudnika. Był już wieczór i przejeżdżaliśmy obok dzikiego wysypiska śmieci w dość odludnym terenie. W pewnej chwili Pasternak poprosił mnie o zatrzymanie auta rzekomo w celu oddania moczu. Mnie też na to namówił, by — jak tłumaczył — nie zatrzymywać się już więcej po drodze. Kiedy stałem w pewnej odległości od samochodu, kątem oka dostrzegłem stojącego tuż za mną Pasternaka. Zaskoczony jego zachowaniem szybko zapiąłem spodnie i odszedłem w kierunku auta. Kiedy ruszyliśmy, zapytał mnie, czy zawsze wysiadając z samochodu wyjmuję kluczyki ze stacyjki. Innym z kolei razem, kiedy przejeżdżaliśmy przez zagajnik, Pasternak poprosił mnie, bym wjechał w leśną przecinkę, a następnie zatrzymał samochód. W lesie cały czas chodził za mną krok w krok. Zapytany przez mnie, co tu właściwie robimy, nie potrafił tego logicznie wytłumaczyć.

Jesienią 1989 roku Pasternak bliżej zaprzyjaźnił się z Ryszardem Leśniakiem. Pan Ryszard wrócił niedawno ze Stanów Zjednoczonych, gdzie przebywał przez kilka ostatnich lat wspólnie z żoną. Małżeństwo za oceanem rozpadło się i Leśniak powrócił do Polski sam, za to z pokaźną sumą dolarów, którą prawie natychmiast ulokował na koncie bankowym. Co jakiś czas pobierał stamtąd po kilkaset „waszyngtonów", które następnie sprzedawał po czarnorynkowej cenie. Był człowiekiem spokojnym, jednak bez jakichkolwiek zainteresowań. Nigdy nic nie czytał, nie lubił także pisać. Leśniak często pił alkohol, można powiedzieć że nawet go nadużywał, ale nigdy nie doprowadzał się do stanu utraty świadomości. Wraz ze swoją konkubiną wiódł żywot człowieka majętnego, któremu jednak nie chciało się w nic inwestować. Wydawał duże sumy w Pewexie na żywność i alkohol, ale lubił także godzinami przesiadywać w podrzędnej knajpie odwiedzanej przede wszystkim przez podejrzanych osobników.

Leśniaka i Pasternaka bardzo szybko połączyło wspólne zainteresowanie — pociąg do alkoholu. W miasteczku mówiono, że są nierozerwalną parą kumpli od kieliszka. Było to prawdą, bo Pasternak często wpadał do Leśniaka z butelką alkoholu, co stanowczo nie podobało się konkubinie pana Ryszarda.

— Nie lubiłam Pasternaka — zezna później w śledztwie — przede wszystkim za to, że rozpijał Ryśka. Wprawdzie Emil zachowywał się wobec mnie grzecznie, by nie rzec szarmancko, lecz wyraźnie czułam w tym zachowaniu nieszczerość i fałsz.

W styczniu 1990 roku Pasternak namawia swojego przyjaciela, by tamten odwiedził go na działce w pobliskiej wsi Domaszkowice. Trochę dziwna to pora roku jak na odwiedziny na działce. Pasternak twierdził, że posiada w domku letniskowym spory zapas oleju napędowego, którego zdobycie w tamtym okresie do najłatwiejszych nie należało. Wiedząc, że Leśniak ma mercedesa-diesla chciał mu po prostu oddać przyjacielską przysługę.

Kiedy pan Ryszard wyjeżdżał z domu do Pasternaka, ubrał się w roboczy strój, bo liczył się z możliwością pobrudzenia ubrania podczas przelewania ropy z beczki do metalowych kanistrów. Wyjechał z domu... Od tamtej pory wszelki ślad po nim zaginął. Pozostał jedynie samochód, do którego był bardzo przywiązany.

Bezpośrednio po zaginięciu Leśniaka Pasternak przedstawił konkubinie umowę kupna samochodu, należącego do jej dotychczasowego towarzysza życia. Tłumaczył, że pan Ryszard podjął niezrozumiałą nawet dla niego nagłą decyzję wyjazdu za granicę. O tyle dziwną, że nikomu wcześniej nie wspomniał o takich planach, nie wziął ze sobą ani jednego dolara z kilkutysięcznego konta w PKO SA, a nawet zostawił w domu paszport.

Kiedy po kilku miesiącach nieobecności konkubina Ryszarda Leśniaka zgłosiła jego zaginięcie, Pasternak niemal natychmiast pojechał do Mysłowic, gdzie na giełdzie pozbył się trefnego samochodu. Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego w krakowskim mieszkaniu jego brata znaleziono dowód osobisty Leśniaka. Późniejsza ekspertyza wykazała, że podpis zaginionego na umowie kupna-sprzedaży posiadanego przez niego samochodu był sfałszowany.

— Śledztwo w tej intrygującej sprawie zostało umorzone z powodu braku dowodów popełnienia przestępstwa — opowiada nadkomisarz Adam Rapicki z Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie. — Nie znaleziono zwłok zaginionego i choć wiele wskazywało, że Pasternak ma związek z jego nagłym zniknięciem i najprawdopodobniej zamordowaniem, nie udało mu się wtedy niczego udowodnić. Bezskuteczne poszukiwania Ryszarda Leśniaka trwają do dziś.

Pasternak osiadł z kolei w województwie krakowskim. Podjął pracę u jednego z tutejszych biznesmenów Mariusza K. Któregoś dnia ten ostatni nie powrócił na noc do domu, co nigdy mu się wcześniej nie zdarzało... Cztery tygodnie później krakowska Policja odnalazła jego zacementowane zwłoki... Po emisji kwietniowego telewizyjnego magazynu „07" Emil Pasternak podejrzany o dokonanie tej makabrycznej zbrodni został ujęty w województwie poznańskim i osadzony w krakowskim areszcie.

— Przez kilkanaście lat służby prowadziłem już wiele makabrycznych spraw — mówi nadkomisarz Rapicki. — Z wieloma przestępcami miałem już do czynienia, lecz z takim człowiekiem jak Emil Pasternak zetknąłem się po raz pierwszy. Zimny, opanowany, tak jakby cały ogrom popełnionych przestępstw dotyczył kogoś innego.

Pasternak podczas wielogodzinnych przesłuchań nie przyznaje się do zarzucanych mu czynów mimo ewidentnych dowodów winy. Jeżeli biegli psychiatrzy nie stwierdzą u niego zaburzeń psychicznych, najprawdopodobniej już wkrótce powinien zasiąść na ławie oskarżonych w Sądzie Wojewódzkim w Krakowie.

**KRZYSZTOF KILIJANEK**

**PS** Imiona i nazwiska poszkodowanych zostały zmienione.

PODKULTURY MŁODZIEŻOWE

**Z wielu dużych miast położonych w różnych stronach świata napływają doniesienia o pojawieniu się nowej podkultury młodzieżowej. Funkcjonowanie tych nieformalnych grup „artystycznych" uzewnętrznia się używaniem farb aerozolowych. Natomiast fantazja aerozolowych malarzy sięga najczęściej do wysokości wyciągniętej ręki.**

**Efekty tej działalności młodzieżowej nazywa się „graffiti". Nasilenie graffiti sięga drugiej połowy lat siedemdziesiątych, a znane jest w wielu krajach Europy, Ameryki, a także w Australii.**

**Formy graffiti to malowanie rysunków i napisów na murach domów mieszkalnych, bramach, drzwiach, ścianach, np. w metrze, w przejściach podziemnych, a także na budynkach użyteczności publicznej. Malowane są także samochody osobowe stojące w korkach ulicznych. Wdzięcznymi obiektami do malowania są także wolno jadące radiowozy policyjne.**

zdj. K. Potocki

# Sprejem PO RADIOWOZIE

**JERZY W. WÓJCIK**

Niektóre malunki mają wartość artystyczną i są przechowywane (np. łącznie z drzwiami, na których są namalowane), w muzeach, galeriach sztuki), inne (a tych jest ogromna większość) po prostu szpecą miasto. Domy w Nowym Jorku, szkoły w Sztokholmie, zabytki Rzymu, urzędy Hamburga i wielu innych miast zachodnich, a od końca lat osiemdziesiątych mury budynków, kiosków, płotów i przejść podziemnych Warszawy — są szpecone „sztuką" wandali.

Wyróżnia się graffiti-writers (tj. ścienne pisanie), graffiti-pictures (tj. ścienne rysunki), a także zdarza się graffiti-physical (tj. pomalowany nagi człowiek). Każda grupa nieformalnie parająca się tego rodzaju „twórczością" działa w kilku zespołach i na określonym terenie, posiada własną nazwę i charakterystyczny znak „firmowy". Napisy i rysunki wykonywane są najczęściej nocą przy zachowaniu zasad konspiracji.

Ta zabawa, bunt, protest, walka czy propaganda idei odbywa się za pomocą malowania rysunków i haseł (tagów). Przykładowo, hasło „War" (wojna) — miało za zadanie z każdej ściany straszyć przechodniów w Nowym Jorku. W Anglii słowo „Zło" — skłania do przemyśleń, także w Anglii słowo „Miód" malowane przez hipisowską grupę graffiti — spowodowało ukojenie i niezamierzoną reklamę oraz wzrost sprzedaży miodu. W Sztokholmie słowo „Myśl" było odbierane przez przechodniów w zróżnicowany sposób, np. „Myśl" — tj. uważaj na schody. To samo słowo na budynkach parlamentu, policji — jako „myśl człowieku". W Hamburgu często spotykane jest hasło punków „Krzycz". Grupy lewackie malują sierp i młot, komunistyczne, prawicowe, faszystowskie, punkowe i heavymetalowe — swoje treści. Natomiast młodzi Arabowie i czarni — rysunki na tle rasowym. Dochodzi także do swoistej korespondencji pomiędzy ugrupowaniami graffiti, czyli „do walki na murach".

Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju protest skierowany jest przeciwko istniejącemu porządkowi. Autorzy graffiti mają o sobie odmienne zdanie niż społeczeństwo o nich. Nie uważają się za wandali. Twierdzą, że protestują przeciwko istniejącemu ładowi, wywierają wpływ na otoczenie przez pozostawienie po sobie piętna oraz że jest to ich chęć wyróżnienia się spośród istniejącej przeciętności. Twierdzą nawet, że graffiti „dostarcza emocji, odurza lepiej niż chlanie i ćpanie".

Z psychologicznego punktu widzenia ta forma wyładowania energii przez młodych ludzi nazywa się agresją przemieszczoną, czyli wyrażoną pośrednio, bowiem wyładowanie następuje na przedmiocie martwym.

Organizacja grup, podział ról, sprawne i konspiracyjne nieomal działanie powoduje, że policje w wielu krajach są w zasadzie bezsilne. Efekty ścigania w wielu miastach są minimalne. Przyjęło się zatem, że „twórczość" graffiti jest półlegalna.

W 1991 roku „twórczość" rodzimych sprejowców poważnie dała się we znaki w 37 województwach, a znana i widoczna jest w całym kraju. W związku z tym nasiliła się także represyjna działalność Policji, w 12 województwach bowiem ujawniono po kilkanaście grup sprejowców, które skierowano do sądów rodzinnych i nieletnich z wnioskami o ukaranie z art. 212 k.k., tj. o niszczenie mienia. Ujawnione grupy sprejowców liczyły po kilku nieletnich sprawców, najczęściej w wieku od 14 do 16 lat. W niektórych przypadkach Policja nie kieruje sprawy do sądu dla nieletnich, gdyż rodzice sami zobowiązują się do pokrycia strat materialnych, a nawet zdarzają się przypadki, że sami odnawiają zdewastowane budynki. W niektórych miastach nieletni sprejowcy malują także zaparkowane samochody. Takich sprawców ujawniono m.in. w Krasnymstawie.

Największe zagrożenie skutkami działalności sprejowców istnieje w Warszawie. W związku z tym już w 1989 roku na ulicy Świętokrzyskiej władze miasta poleciły ustawić duży ekran z napisem: „Zamiast na ścianie — pisz na ekranie". Wkrótce ktoś wymalował na ekranie wizerunek wielkiego fallusa z podpisem „organ władzy". Ekran schowano.

W wielu dużych i małych miastach Polski rodzimi twórcy graffiti nie prezentują jeszcze walorów artystycznych. W większości odbywa się zwykłe bazgranie po murach, a różnorodne treści m.in. polityczne, ekologiczne, seks, narkotyki, muzyka rockowa i wulgaryzmy wyrażane są napisami oraz prymitywnymi rysunkami.

Wybory prezydenckie także miały swoje odzwierciedlenie: „Miss Polonia — prezydentem", rysunek L. Wałęsy odbity szablonem z napisem „czy masz już jego ołtarzyk?"

Nie brakuje napisów skierowanych przeciwko określonym organom czy urzędnikom, np.: „Kuroń do zupy", „Lechu do technikum", „Lechu zrób maturę", „Wałęsa na króla", „Wałęsa na kasztankę", „Urban — cwel".

dokończenie na s. 15

Belweder bez tajemnic

# ZA PLECAMI PREZYD

**W jaki sposób jest chroniony Belweder – siedziba prezydenta Rzeczypospolitej?**

**Starałem się tego dowiedzieć podczas rozmów przeprowadzonych w Biurze Ochrony Rządu, którego funkcjonariusze i żołnierze potocznie nazywani borowikami, przez 24 godziny na dobę dbają o bezpieczeństwo pierwszego człowieka Polski.**

Każdy obiekt rządowy, a szczególnie siedziba prezydenta (premiera, kanclerza itp.), jest narażony na penetrację obcych wywiadowców. Czy polskie służby kontrwywiadowcze zanotowały jakąś próbę przeniknięcia obcych agentów na teren Belwederu?

— Ochrona obiektów rządowych — jak dotąd — nie dopuściła do tego, aby taka ewentualność w ogóle mogła nastąpić.*

— O duży zawrót głowy zazwyczaj przyprawiają ochroniarzy ludzie, którzy z racji sprawowania określonych funkcji w państwie muszą być chronieni, a którzy czasami próbują „urwać" się swoim aniołom stróżom. Jaki pod tym względem jest prezydent Lech Wałęsa?

— Sprawując urząd prezydenta Lech Wałęsa, podobnie jak wszyscy szefowie państw na całym świecie, strzeżony jest przez 24 godziny. Nasz prezydent nie wstydzi się swojej ochrony i to już jest duży plus. W przeszłości różnie to bywało. Ale Lecha Wałęsy nie jest łatwo pilnować, ponieważ lubi mieć kontakt z ludźmi, nie boi się tłumu, często wychodzi mu naprzeciw. Oczywiście pracownik BOR chroniący głowę państwa zawsze musi być czujny, ale wtedy musi pracować na najwyższych obrotach, gdyż w takich momentach teoretycznie istnieje najwyższy stopień zagrożenia.

— Czy prezydent nosił bądź, w określonych sytuacjach, nosi kamizelkę kuloodporną?

— Nie słyszałem o takim przypadku i nie przypuszczam, by akurat prezydent Lech Wałęsa zechciał coś takiego włożyć.

— Ile osób bezpośrednio chroni prezydenta Wałęsę?

— Niestety, ścisłymi liczbami nie możemy operować. Mogę tylko powiedzieć, że istnieje kilka grup, które na zmianę przez całą dobę czuwają obok prezydenta. Te zaś dzielą się na grupy ochrony osobistej, ochrony Belwederu i ochrony miejsca zamieszkania.

— Jakie warunki należy spełniać, by zostać pracownikiem Biura Ochrony Rządu? Jakie przeszkolenie należy przejść, by móc stanąć za plecami szefa państwa?

— Przychodzący do nas kandydat zdaje najpierw odpowiednie testy psychofizyczne. Jeśli je zaliczy, przechodzi przeszkolenie w Grupie Specjalnego Zabezpieczenia. Okres terminowania jest różny. Średnio trwa około 2 lat. W tym czasie człowiek ten przechodzi wiele szkoleń, a następnie sprawdzianów. Między innymi trenuje na siłowni, basenie, strzelnicy itp. Potem angażowany jest do prac drugorzędnych. Na przykład podczas wizyt delegacji zagranicznych stawiany jest na mniej odpowiedzialne posterunki. Jeśli się sprawdzi, otrzymuje zadania trudniejsze, aż w końcu, gdy się okaże, że jest jednym z najlepszych, trafia do ochrony prezydenta, premiera czy ministra.

## Kobieta w BOR

— Obecnie w Biurze pracuje jedna kobieta. Jak stwierdzili moi rozmówcy, jej obecność w zespołach ochronnych często jest konieczna. Dlaczego?

— Wiadomo, że kobieta nie w pełni podoła zadaniom, jeśli chodzi o ochronę fizyczną. Często jednak bywa tak, że wizytujący nas goście przyjeżdżają z małżonkami. Stąd w niektórych sytuacjach kobieta w ochronie spełnia wiele ważnych funkcji. W wielu przypadkach, biorąc pod uwagę czysto kobiece sprawy (np. zakupy, spacer po mieście), dobrze jest, by osobie ochranianej towarzyszyła...

— Kobieta-cień?

— Można to tak ująć. Z reguły, przed przylotem określonej delegacji, w Polsce zjawia się tzw. grupa rekonesansowa z ochrony danego kraju. Jej członkowie wraz z nami analizują cały program pobytu naszego gościa. Wtedy to czyni się wstępne ustalenia, kto (kobieta, mężczyzna), gdzie i kiedy towarzyszy jako ochrona danej osobie.

— Czy są sprawdzane potrawy serwowane prezydentowi i jego gościom? Jeśli tak, to w jaki sposób się to robi?

— W biurze istnieje specjalna komórka zajmująca się tego typu sprawami. Mamy na etacie kogoś takiego jak lekarz sanitarny (oczywiście nie jest to tylko jedna osoba), kto sprawuje bezpośrednią pieczę nad wyżywieniem. Konkretnie mam tu na myśli produkty, które mają być podawane i spożywane przez osoby ochraniane. Każdorazowo wszystkie składniki posiłków są kontrolowane.

— Jak rozumiem, nie istnieje wśród was osoba, która, nim np. obiad trafi na stół prezydenta, próbuje wszystkich składników dań.

— Oczywiście, że nie. Wcześniej wszystko musi być tak zabezpieczone, by do takiej ewentualności, jak próba otrucia, nie doszło.

Nad Białym Domem, Kremlem przestrzeń powietrzna jest zamknięta dla samolotów. Nie tyle chodzi tu o możliwość zbombardowania danej rezydencji, co raczej o uniknięcie nieszczęśliwego przypadku, kiedy to na skutek awarii samolot spada. Czy niebo nad Belwederem również musi być czyste?

— Z tego, co jest mi wiadomo, żaden kanał powietrzny nie przechodzi nad Belwederem. Prócz tego jesteśmy jeszcze w tej dobrej sytuacji, że nad Warszawą istnieje zakaz latania helikopterów, stąd możemy się martwić jedynie o to, by niebo się nie zachmurzyło i jeśli spadnie deszcz, aby chroniona osoba nie przemokła.

## Pancerna limuzyna czy fiat 126p?

Kilka miesięcy temu niektórzy z dziennikarzy przedstawili w swoich publikacjach

zdj. K. Mokrzyszewski

bulwersujący jakoby fakt, dotyczący zakupu opancerzonego samochodu marki Mercedes. Głośno deliberowano nad tym, czy prezydentowi Wałęsie potrzebny jest opancerzony wehikuł. Czy i kogo prezydent tak się obawia, że chowa się w pancernym pojeździe. Co na ten temat sądzą ochroniarze?

— W ramach określonej procedury ochrony szefów państw na całym świecie, istnienie takiego samochodu jest czymś normalnym. Nikt nie dziwi się, że prezydent Francji czy kanclerz Niemiec porusza się opancerzonym wozem. Dlatego też burzę w polskiej prasie odebrałem jako pogoń za sensacją. Z tym że owej sensacji nie szukano tam, gdzie trzeba. Proszę mi wierzyć, że nie znam przypadku, by na świecie jakaś ważna osobistość jeździła zwykłym, seryjnym samochodem. Jeżeli w którymś z krajów twierdzą, że szef państwa jeździ standardowym wozem, to jest to zwykłe mydlenie oczu własnych obywateli. Istnienie takich pojazdów jest spowodowane dzisiejszymi wymogami bezpieczeństwa i nie możemy sobie pozwolić na to, by akurat nasz prezydent jeździł fiatem tylko dlatego, że podobałoby się to niektórym ludziom.

Kolejna sprawa. Zarzucano w prasie, że kupiono akurat mercedesa. Ale czy polski przemysł w ogóle jest w stanie wyprodukować taki samochód? Nie jest to pierwszy tego typu samochód w Polsce. Poprzednia władza również korzystała z aut pancernych marki Volvo i Peugeot. Warto też dodać, że samochód, którym jeździł poprzedni prezydent, gen. Wojciech Jaruzelski, był już po dużym przebiegu i nie nadawał się do dalszej eksploatacji.

Nie wszystkim jest znany fakt, że za poprzednich ekip samochody „Volvo" były kupowane w Szwecji, potem przewożono je do Francji, gdzie były odpowiednio okładane płytami pancernymi. Nie warto w tym miejscu mówić, jak bardzo podrażało to koszty jednego samochodu. W przypadku zaś mercedesa mogliśmy kupić gotowy egzemplarz (od ręki) u producenta.

— Prezydent lubi sam prowadzić samochód, czy też woli, by robili to za niego inni?

— Nigdy prezydent nie powinien sam prowadzić samochodu. Do kierowania prezydenckim samochodem mamy specjalnych kierowców, którzy są odpowiednio przygotowani do tego, by nawet w nieprzewidzianych okolicznościach zachować spokój.

— Na ile znana jest nam postać prezydenta, wiemy wszyscy, że lubi on stawiać na swoim.

— Trzeba powiedzieć, że nie słyszałem, by istniały jakieś konflikty między prezydentem a jego ochroną. Niemniej prezydent jest osobą, której nie można narzucić swojej woli (mam tu na myśli określony sposób zachowania się w kontaktach z obcymi itp.). To my mamy dostosowywać się własnymi działaniami do sposobu bycia prezydenta.

— Czy zanotowaliście jakąś próbę zamachu (nie mówię, że na życie), ale np. na zdrowie, godność prezydenta?

— Każdy z nas wychodząc rano z domu zastanawia się, co przyniesie dzień. Człowiek, który chroni głowę państwa, musi być przygotowany na każdą sytuację. W tej służbie nie ma miejsca nawet na minutowy luz. Być może dlatego dotąd nic, o czym pan wspomniał, się nie zdarzyło.

**PAWEŁ SZLACHETKO**

* Poszczególnych wypowiedzi, niestety, nie mogłem opatrzyć stosownymi nazwiskami. Anonimowość jest bowiem jedną z podstawowych zasad pełnienia służby w Biurze Ochrony Rządu.

**Tak się jakoś składa, że Polacy lubią uczyć się na błędach. Najpierw, gdy Policja otwarła się na świat, wysyłaliśmy grupy funkcjonariuszy do USA, Anglii, Francji celem zapoznania się na miejscu z ich technikami i metodami zwalczania przestępczości. Gdy z finansami zrobiło się naprawdę krucho, ktoś słusznie wydumał, że taniej wyjdzie zaproszenie ekspertów z tamtych krajów i objęcie szkoleniem większych grup polskich policjantów.**

# Lekcja FRANCUSKIEGO

W październiku przyjechała na zaproszenie Komendy Głównej Policji pierwsza 4-osobowa grupa francuskich policjantów ze służby zwalczania zorganizowanej przestępczości i bandytyzmu z inspektorem Jeanem Michelem Colombini na czele i jednocześnie wykładowców. Uczyli już oni policyjnego rzemiosła w wielu krajach świata, ale ze strefy francuskojęzycznej. Tu, u nas, na każdym kroku musiał im towarzyszyć tłumacz. Opracowano dokładny program dziesięciodniowego szkolenia, w którym wyraźnie były podzielone role i zadania. Przewidywał on między innymi takie zajęcia, jak: technika przeszukania osoby, sposoby zatrzymania pieszego przez patrol policyjny, podejmowanie działań policyjnych w pomieszczeniach zamkniętych, sposoby prowadzenia inwigilacji i obserwacji. Codziennie też było strzelanie do celów stałych, ruchomych, do wraków samochodów.

Już w pierwszym dniu zajęć, jak to u nas w Polsce ostatnio się dzieje, zaczęły się schody, i to takie, że Francuzi przecierali oczy ze zdumienia. Za nic nie mogli zrozumieć, że na czas nie dostarczono na strzelnicę broni i amunicji. A już podstawienie zamiast karoserii starego samochodu osobowego (mieli szkolić się w strzelaniu doń) budy od stara, wzbudziło ich szczery podziw dla polskiej improwizacji.

To samo dotyczyło praktycznej nauki obserwacji przy użyciu samochodów. Owszem, dostarczono 10 cywilnych polonezów, za to z rejestracją MOF. Mimo wielu wysiłków francuskich pozorantów-przestępców, ćwiczenia z obserwacji prowadzone w Legionowie i w Warszawie czasami przypominały trochę harcerskie podchody, zwłaszcza że jeden ze szkolących się w obserwacji musiał siedzieć na tylnym siedzeniu, bo za kierownicą zasiadał ten, który miał samochód na stanie. Francuzi nijak nie pojmowali, dlaczego policjant, który ma prawo jazdy, nie może prowadzić pojazdu. U nich pojęcie tzw. wkładek w ogóle nie istnieje. Część wozów była własnością UOP, część Policji i dlatego między nimi porozumiewano się za pomocą radiostacji... nasobnych. Ogólną wesołość wywołało zalecenie szkoleniowca z KGP, aby przestępcy (pozoranci) zmniejszyli prędkość na trasie. Jego obawy były słuszne, gdyż w przestępcach i obserwatorach zaczęły grać emocje i polonezy grzały jak w serialu „Miami Vice". Francuzi byli przerażeni, gdy nasi, w pogoni za przestępcami, wjeżdżali na skrzyżowania przy pomarańczowym świetle. U

ciąg dalszy na s. 19

Z próśb o interwencję

*— To się należy mojemu mężowi, chcę poznać całą prawdę, o tym, jak zginął — mówi spłakana wdowa.*

**List nadesłany do redakcji przez panią Stefanię Łodejową z Połańca zaczyna się od słów: *Zwracam się z uprzejmą prośbą o udzielenie mi pomocy w sprawie wyjaśnienia wielu nurtujących mnie wątpliwości, związanych z wypadkiem śmiertelnym, jakiemu uległ mój mąż w dniu 6 lipca 1989 r. w Budziskach, gm. Łubnice, woj. tarnobrzeskie. Prokuratura Rejonowa w Staszowie umorzyła śledztwo z powodu „wykluczenia udziału osób trzecich" (...) Fakty związane z okolicznościami i miejscem wypadku świadczą o czymś zupełnie innym.***

**A zatem jeden z tysięcy tragicznych wypadków, jakie co dnia przytrafiają się na naszych drogach czy też ponura, tajemnicza sprawa?**

# ZNAKI ZAPYTANIA

## Przedtem

Rodzina Łodejów pochodzi z tych stron, więc gdy w 1978 roku przeprowadzili się z Brzegu Dolnego do Połańca, był to dla nich radosny i oczekiwany powrót. Obydwoje znaleźli zatrudnienie w elektrowni, on ostatnio był mistrzem ruchu bloków, żona pracuje przy wytwarzaniu wodoru. Trzypokojowe mieszkanie w bloku dostali z zakładu, ale najlżej nie było przy trojgu dzieciach. Tak się jednak dobrze składało, że on był „złotą rączką" we wszystkich domowych naprawach, remontach, ulepszeniach, a ona zapobiegliwą, gospodarną panią domu.

Z dziećmi nie było problemów, sami też nadzwyczajnych wymagań nie mieli, umiejąc cieszyć się tym, co jest, także kupionym w 1982 roku „maluchem". Byli żywym przykładem na to, że zgoda buduje i wszystko szło po ich myśli aż do owego tragicznego dnia.

Pani Stefania jak co roku w sezonie truskawkowym była u rodziny wraz z córką, pomagając w zbiorach na plantacji. Młodszy syn wybierał się do Warszawy w sprawach obrony dyplomu na uniwersytecie, starszy pochłonięty był swoimi sprawami. Pan Stefan wziął urlop od 6 lipca i tego dnia miał się zjawić w Lechówku. Zamiast niego przyjechał syn Paweł z TĄ wiadomością...

Szok. Nie mogli uwierzyć, zrozumieć, pogodzić się. Na razie usłyszeli tyle, że wracał skądś samochodem do Połańca. Świadek S., jadący na ryby, około godz. 4.00 zauważył w Budziskach wciśniętego w rów „malucha" z zapalonymi światłami z tyłu. Zatrzymał się, stwierdził, że pojazd ma wybitą przednią szybę, a z jego prawej strony nieruchomo leży mężczyzna, z pokaleczoną twarzą i głową. Zawiadomił milicję i lekarza, pogotowie ratunkowe zjawiło się szybciej, ale na pomoc było już za późno.

## Prywatne śledztwo

Kiedy w toku prowadzonego postępowania wyszło na jaw, że Stefan Łodej miał we krwi 1,2 promila alkoholu, rodzina przeżyła kolejny szok. Jak twierdzi pani Stefania, mąż czasem pił towarzysko, ale nigdy nie zdarzyło mu się zasiąść potem za kierownicą. Nigdy — powtarza. Nie mogła pojąć, co mogłoby go skłonić do odrzucenia tej zasady. Pojawiające się rozmaite plotki — jak to w małym miasteczku — kazały jej także wracać wciąż do sprawy. Nie to, że bezkrytycznie dawała wiarę pogłoskom o udziale tej bądź innej osoby, ale postanowiła sama posprawdzać fakty.

Zaczęła od znajdującej się w pobliżu miejsca zamieszkania restauracji „Winnica", gdyż tam około godz. 18.00 poszedł po papierosy jej mąż. Wcześniej odstawił samochód do garażu, co świadczyło dobitnie o tym, że nigdzie się już nie wybierał w podróż. W lokalu zastał Adama Z. i Stanisława D., nie byli wcześniej umówieni, ale skorzystał z zaproszenia i przysiadł się do stolika.

— Mąż wypił sto, może sto pięćdziesiąt gramów i wyszedł z „Winnicy" około 19.00, wcześniej wyszedł Adam Z. — mówi Stefania Łodejowa. — Jeszcze przed dziennikiem telewizyjnym spotyka go na działce spieszący do domu sąsiad. Przed 21.00 widzi go koło garażu znajomy, to z jego opisu rozpoznałam Stanisława D., jako osobę towarzyszącą mężowi. Jest już ciemnawo, gdy męża widzi starsza kobieta w pobliżu naszego bloku, jest z dwoma wspomnianymi mężczyznami (czego Adam Z. absolutnie nie potwierdza).

Zdaniem pani Stefanii, do Czarzyzny, dokąd Stefan Łodej odwoził Stanisława D., zajeżdżają o 22.00—22.30. Wedle przesłuchiwanego Stanisława D. Łodej nie wchodził do mieszkania, poprosił tylko o szklankę kompotu i za moment odjechał. Sam.

— 15 sierpnia szłam na pierwszą zmianę do pracy i zauważyłam Stanisława D., rozpoznałam go na podstawie opowiadań — mówi dalej pani Łodejowa. — Poprosiłam go, żeby opowiedział o ostatnich godzinach życia męża, które przecież spędzili razem. Ku memu zaskoczeniu on zaczął się zdecydowanie wypierać tej znajomości, stwierdził tylko, że owszem jakiś mężczyzna go odwiózł i zaraz, po wypiciu kompotu, pojechał. Zaczęłam myśleć, gdzie mąż był w takim razie, zanim znaleziono go martwego dwa kilometry od Czarzyzny. Na ryby — jak to ktoś sugerował — nigdy nie jeździł, w ogóle nigdy nie wybierał się w te strony, nikogo tam nie znał. Doszłam do wniosku, że musiał spędzić trochę czasu właśnie u D., ale ten człowiek zaprzeczał.

Wie pani, cały czas prześladowała mnie myśl, że męża ktoś odwoził, a on siedział jako pasażer — bo i obrażenia miał tylko z prawej strony i samochód uszkodzony z prawej strony, kierownica nie wyłamana, to jakby wypadł? Odszukałam córkę pana D., długo z nią rozmawiałam („męczyłam" — jak ona mówi), ale wreszcie usłyszałam potwierdzenie moich przypuszczeń: tak, mąż wszedł wtedy do domu, zrobiła im herbatę i poszła na górę, nie wie, co było dalej. Byłam wstrząśnięta, dlaczego wcześniej się do tego nie przyznawali?

Na następne moje pytanie, czy był jeszcze ktoś w domu, może brat, odpowiedziała po chwili wahania „tak, był, ale co pani sugeruje?"

Dotarła potem do młodego D., żeby zapytać, jak to przyjął, kiedy dowiedział się, że człowiek, z którym parę godzin wcześniej siedział przy stole, został znaleziony martwy w przydrożnym rowie? A potem pytała jeszcze, co naprawdę zdarzyło się tej nocy. Cały czas myślała o tym, że kierujący wygiął dźwignię zmiany biegów i musiał mieć potężny krwiak, tymczasem mąż niczego takiego nie miał. A dlaczego młody D. wziął dzień urlopu 6 lipca, dzwoniła w tej sprawie jego siostra do pracy? Pytania i wątpliwości mnożyły się, a jednocześnie czynione z trudem prywatne ustalenia pani Stefanii zaczęły w jej oczach układać się w logiczną całość.

## Narastające wątpliwości

Postanowienie o umorzeniu dochodzenia, podpisane przez prokuratora Prokuratury Rejonowej w Staszowie Wiesława Nowaka, nosi datę 25 września.

Czytamy w nim: „W toku oględzin lekarskich stwierdzono na jego (S. Łodeja — przyp. aut.) ciele, tj. twarzy, przedramieniu i grzbiecie drobne rany cięte oraz podbiegnięcia twarzy. Badanie zaś jego krwi wykazało obecność alkoholu w stężeniu 1,2 promili. Zdaniem biegłego lekarza śmierć nastąpiła wskutek ostrej niewydolności oddechowo-krążeniowej, zaś rany i podbiegnięcia były skutkiem wypadku, w którego stłuczeniu uległa przednia szyba pojazdu. Całokształt zgromadzonego materiału dowodowego skłania do przyjęcia wersji, że Stefan Ładej wracając z Czażyzny po odwiedzeniu Stanisława D., uległ wypadkowi drogowemu — zjechał do rowu i stłukł szybę, której odłamki pokaleczyły mu głowę, grzbiet i przedramienie. W następstwie tego zdarzenia, które prawdopodobnie wzburzyło go oraz wypitego wcześniej alkoholu wystąpiła niewydolność oddechowo-krążeniowa." (Ortografia i stylistyka oryginału — przyp. aut.)

Jakkolwiek Stefania Łodejowa nie przyjęła tych ustaleń za jednoznacznie wiarygodne, to długo nie czyniła dodatkowych starań w sprawie. Sądziła, że upływ czasu złagodzi ból i wątpliwości. Zresztą etykietka „jechał pijany i się zabił" była krępująca i zamykała usta. Nie zamierzała też nikogo oskarżać bez dostatecznych dowodów, niemniej uznała, że postępowanie przeprowadzono powierzchownie i niestarannie.

Wreszcie 17 października zdecydowała się skierować do prokuratury pismo z prośbą o „powołanie biegłego, w celu wydania jednoznacznie brzmiącego oświadczenia, czy mąż mój Stefan Łodej, który uległ śmiertelnemu wypadkowi samochodowemu w dn. 6 VII 1989 r. w Budziskach, brał w nim udział jako kierowca czy jako pasażer..."

Dochodzenie w przedmiotowej sprawie zostało podjęte 24 października.

Ponownie przesłuchano seniora D., jego córkę oraz po raz pierwszy syna. O ile córka wypowiedziała się na temat wizyty Stefana Łodeja dość ogólnikowo: „Tamten mężczyzna początkow nie wchodził do domu i ja go nie widziałam", o tyle starszy pan zasadniczo zmienił poprzednie zeznania. Przyznał, że gość wszedł do środka, że chyba zaprosiła go córka, że usiedli do stołu i że pili alkohol z takiej nietypowej butelki, pewnie zagraniczny.

Dlaczego wcześniej mówił co innego? Bo chciał całą sprawę odsunąć jak najdalej od siebie?

— Ci ludzie — mówi pani Łodejowa — powinni mi przynajmniej po ludzku współczuć, tymczasem uciekali na mój widok, kręcili, kłamali. Dlaczego? W trakcie zarządzonej konfrontacji młody D. nie potwierdził tego, co powiedział mi wcześniej — że zamierzał odwieźć męża do domu, włożył kluczyki do stacyjki i tylko cofnął się na górę po sweter, a w tym czasie mąż odjechał. Nie doszło mimo moich próśb do konfrontacji z córką pana D...

## Co z tą sekcją?

Opinia biegłych sądowych z Kielc — anatomopatologa i biegłego ds. wypadków drogowych

została sporządzona 24 kwietnia 1991 roku, na podstawie protokołu oględzin miejsca zdarzenia, protokołu zewnętrznych oględzin zwłok i całości akt sprawy.

Punkty 6 i 7 brzmią następująco: „Stefan Łodej w chwili wypadku został wyrzucony na zewnątrz samochodu, przez przednią szybę, zgodnie z kierunkiem, w jakim się poruszał samochód w momencie uderzenia w drzewo. Po uderzeniu w drzewo samochód przemieścił się za wyrzuconym kierowcą, lekko skośnie w lewo, w wyniku zaistniałego momentu obrotowego samochodu, będącego skutkiem mimośrodowego zderzenia. Na skutek ukształtowania terenu (rowu) samochód przodem zsunął się w miejsce, gdzie znajdował się leżący kierowca. Przedmioty znajdujące się obok kierującego w rowie najprawdopodobniej wypadły z samochodu, również w chwili, gdy wyrzuciło kierującego. Brak śladów krwi poza miejscem, gdzie leżał denat wskazuje na to, że po wypadku nie przemieszczał się.

Same oględziny zewnętrzne nie pozwalają na precyzyjną ocenę, ale jak uczy doświadczenie lekarskie, wyciek krwi z ucha przemawia za złamaniem kości podstawy czaszki, co z reguły połączone jest z rozległymi obrażeniami wewnątrzczaszkowymi kończącymi się zejściem śmiertelnym. Obrażenia te z reguły powodują głęboką utratę przytomności oraz w zależności od ciężkości uszkodzeń mózgowia w krótszym lub dłuższym okresie doprowadzają do zgonu."

I tak dochodzimy do sprawy sekcji zwłok. Sekcji, której — zgodnie z decyzją prokuratora obecnego na miejscu zdarzenia — nie było. Dla badających ten przypadek rzecz cała od początku wyglądała ewidentnie: zwyczajny wypadek drogowy spowodowany przez kierującego pojazdem. Dlatego też uznano, że wystarczą zewnętrzne oględziny zwłok — informujące o wycieku krwi z prawego przewodu ucha i kilku drobnych zranieniach. Na tej podstawie biegły sądowy wysnuł wniosek o złamaniu podstawy czaszki. Rodzina nadal ma jednak wątpliwości, czy stało się to w związku z wypadkiem, czy też np. wskutek zadanych uderzeń po kolizji, która wcale nie musiała zakończyć się tragicznie.

Tylko otwarcie zwłok mogło dać jednoznaczną odpowiedź. I tu jest pewne „ale", otóż rodzina twierdzi, że widziano cięcia sekcyjne na głowie zmarłego, powołuje się na słowa pracownika prosektorium. Wcześniej nie stwierdzono większych obrażeń. Rodzina snuje na tej podstawie daleko idące spekulacje, że „może znaleźli coś, co było nie po ich myśli, a co komplikowało prostą z pozoru sprawę".

Dariusz Łodej, 29-letni syn pani Stefanii, mówi, że nie kieruje się emocjami, wszystko ocenia chłodno i jest zdania, iż prokuratura przeciąga sprawę np. odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie było sekcji, oczekują od kilku miesięcy.

## ● Cofnijmy się raz jeszcze

Asp. Leszek Kot obecnie z Komisariatu Policji w Połańcu na pewnym wczesnym etapie — choć nie od początku — prowadził sprawę. Przesłuchiwał panią Łodejową, seniora D., jego córkę, Adama Z., świadka, który znalazł zwłoki. Nie tak już wiele pamięta sprzed z górą dwóch lat, ale wie, że postępowanie było prowadzone jednokierunkowo, jako wypadek, żadnej innej wersji nie brano pod uwagę. — Nie było motywów ani podstaw, by traktować to inaczej — stwierdza.

Funkcjonariusze z KRP w Staszowie Zbigniew Szymański i Leszek Kalina, którzy pod kierunkiem prokuratora Edwarda Domagały pracowali wtedy na miejscu zdarzenia, zgodnie twierdzą, że zrobili to, co było do zrobienia. Niczego w tym wypadku nie znaleźli nietypowego, budzącego wątpliwości, zresztą gdy te wątpliwości się pojawiły, podjęto ich wyjaśnianie.

— Wspólnie z prokuratorem doszliśmy do wniosku — mówi asp. Szymański — że mężczyzna prawdopodobnie wyleciał przez przednią szybę, gdyż była ona wybita, znaleźliśmy też ślady darcia podłoża w rowie, nie było powietrza w prawym przednim kole. Jak zwykle zebrała się grupa gapiów, komentujących nasze działania. Muszę dodać, że nie pamiętam wielu szczegółów, gdyż była to dla mnie w ciągu kilkunastu lat pracy jedna z wielu spraw.

Niektórzy dziwią się, że pani Łodejowa z uporem wraca do rozpamiętywania różnych okoliczności, miast przyjąć dotychczasowe ustalenia, są tacy, którzy suponują, że wdowa chce zepchnąć winę na osoby trzecie wyłącznie z pobudek materialnych. Mnie natomiast wydaje się, że klucz do sprawy tkwi w jej stwierdzeniu: „Byliśmy małżeństwem przez 28 lat i mąż nigdy mnie nie zawiódł". I ma — jako skrzywdzona przez los osoba — moralne prawo brać pod lupę każdy moment sprawy. A tak się składa, że są konkretne punkty zaczepienia. Jak wspomniana już sprawa sekcji zwłok — jeśli jej nie było, to dlaczego? Jak brak powietrza w prawym przednim kole — czy było to skutkiem wypadku, czy może jego przyczyną.

Nie udało się ustalić pierwotnego ułożenia ciała, które było przemieszczane przez lekarkę z pogotowia, nie uzyskano zeznań świadków z pobliskich zabudowań, choć zebrani na miejscu ciekawscy mówili, że „coś tam słyszeli i widzieli" (być może nie było to zresztą nic istotnego). Nie chcę z tych powodów czynić konkretnych zarzutów — wiadomo, jak ludzie unikają mówienia „na protokół", nie sugeruję też złej woli czy niedbalstwa, jedynie stwierdzam fakty, a one z kolei powodują, że obraz całej sprawy jest bardzo ogólny.

Miejsce zdarzenia ukazane jest przez kilka słabych technicznie zdjęć (tu usłyszałam o fatalnym sprzęcie i wiem, że taka jest zgrzebna prawda), szczegółowe oględziny pojazdu przeprowadzono już na placu przy komendzie w Staszowie. Na miejscu nie zabezpieczono śladów linii papilarnych w samochodzie, a ponieważ nie był on holowany, ale prowadzony (po wymianie koła) przez funkcjonariusza, ewentualne ślady uległy bezpowrotnemu zatarciu. Zresztą tej czynności prokurator nie zlecał.

Przy lekturze akt wpadają w oko różne błędy, drobne co prawda, ale to i owo mówiące jednak o jakości pracy (może o pośpiechu, może o braku koncentracji czy staranności). I tak zamiast nazwiska Łodej mamy czasem „Łodaj", zamiast miejscowości Budziska wpisano w protokole oględzin pojazdu samochodowego Beszową, raz pojawia się niewłaściwa data zdarzenia — nie 6 a 5 lipca. „Zwłoki te ubrane są w koszulę koloru niebieskiego z krótkimi rękawami, spodnie koloru brązowego oraz półbuty koloru czarnego". Tyle cytat z protokołu, natomiast na zdjęciu (nawet tym kiepskim) widać... sandały. Powtarzam, wiem, że to drobiazgi, ale rodzina ma prawo pomyśleć — skąd pewność, że w takim razie nie ustrzeżono się poważniejszych błędów?

## ● Zamiast zakończenia

Podjęte 24 października dochodzenie umorzył ponownie postanowieniem z 21 maja 1991 roku prokurator Marek Banasiewicz. Miesiąc później Prokuratura Wojewódzka zwróciła materiały do uzupełnienia, zlecając dokonanie czynności wyjaśniających w trybie art. 293 k.p.k.

Trzeba przyznać, że ma prokurator ciężki orzech do zgryzienia. Czas się nie cofnie, nie ma więc ani tamtego samochodu, ani miejsca zdarzenia w owym kształcie. Nie rozszerzył się krąg świadków, przeciwnie — zawęził. Młody D. wyjechał niedawno do USA, o starym panu D. usłyszałam niepotwierdzoną wiadomość, że zmarł, pracownik prosektorium odszedł na emeryturę i w ogóle nie pamięta tamtej sprawy, nie żyje lekarz, który dokonywał oględzin. Poruszać się zatem można tylko w wąskim i wyznaczonym wcześniej zakresie. Jeśli nawet przyjmiemy ocenę, że oględziny przeprowadzono dość pobieżnie, to i tak nie odwrócimy biegu wydarzeń.

— Szukamy odpowiedzi na pytanie — mówi pan Marek Banasiewicz — czy był to wypadek, czy też, jak sugeruje rodzina tragicznie zmarłego, ktoś w tym wypadku „pomógł". Do tej pory wszystko wskazuje na to, że był to jednak wypadek. Gdybyśmy mieli cień podejrzeń albo poszlaki pozwalające przedstawić komukolwiek zarzut popełnienia przestępstwa w związku z tym wypadkiem, na pewno byśmy to uczynili. Ale takich poszlak nie ma.

Pozostaje zatem oczekiwanie na decyzję Prokuratury Wojewódzkiej. Czy uchyli to ostatnie umorzenie?

Tymczasem rodzina Łodejów nie może pogodzić się ze stratą najbliższej osoby, a 15-letnia Madzia pisze wiersze poświęcone pamięci ojca.

**JOLANTA ŚLIFIERZ**

# Sprejem PO RADIOWOZIE

**dokończenie ze s. 11**

„MO — gestapo", „997 — nie ma takiego numeru", „Wojsko — szkoła zabijania", „Wolę mieć stosunek z jeżem niż 2 lata być żołnierzem", „Gliny z klechami wymieńcie się pałami i kazalnicami", „Policjanta myśl cała — to pała".

W 1990 roku przeprowadziłem badania anonimowe 54 nieletnich przebywających w policyjnych izbach dziecka. Celem badań był sondaż poglądów nieletnich na temat działalności sprejowców.

**Badani to: 46 chłopców i 8 dziewcząt w wieku od 13 do 17 lat przebywający w policyjnych izbach dziecka w: Będzinie, Gdańsku, Katowicach, Łodzi, Szczecinie, Warszawie i Wrocławiu. Wśród zatrzymanych tradycyjnie dominowali sprawcy takich czynów, jak: włamania z kradzieżą do sklepów i mieszkań, rozboje oraz uciekinierzy z domów rodzinnych i zakładów poprawczych.**

**Wśród 54 badanych blisko 1/3, tj. 17 nieletnich, czyli 31,5 proc. przyznało, że zna lub koleguje się ze sprejowcami. Działalność sprejowców akceptuje tylko 15, tj. 27,8 proc., a zdecydowanie potępia malowanie murów 33, tj. 61,1 proc. badanych nieletnich. Pozostali, tj. 6, czyli 11,1 proc. nie mają wyrobionego zdania lub nie spotkali się z efektami działalności sprejowców. Byli to nieletni ze wsi lub małych miast.**

**Nieletni, którzy akceptują działalność sprejowców twierdzili np., że „to ładnie wygląda". Natomiast na 33 badanych, którzy nie akceptują tej podkultury — 3 domaga się dla nich surowych kar za dewastację domów i zabytków.**

**Badani twierdzą, że najczęściej motywem działania sprawców — sprejowców jest głupota, szpan oraz że są to typowe przejawy wyżywania się chuliganów i wandali, punków i skinów, a także niektórych kibiców sportowych. Właśnie na murach manifestują swoje poglądy, sympatie i antypatie.**

**Tylko dwóch przyznało, że sami są sprejowcami. Obaj przebywają w izbie dziecka za popełnienie czynów karalnych (kradzieże z włamaniem), obaj są zdemoralizowani. Młodszy, lat 14, porzucił szkołę i ukończył zaledwie 5 klas szkoły podstawowej. Drugi, lat 16, uczęszcza do klasy 7 szkoły podstawowej.**

Nikt jeszcze nie zdecydował się zdefiniować polskiego graffiti. Na razie można zaproponować definicję opisową: jest to młodzieżowa i anonimowa sztuka ludowa, będąca pełnym przejawem demokracji (dla wszystkich i o wszystkim), mająca charakter agresywny (narzuca się każdemu, nie zaprasza do galerii, atakuje z muru, płotu, w przejściu podziemnym czy klatce schodowej) i buntowniczy (informuje, ukazuje bezsilność, woła o pomoc, skłania do przemyśleń, a przede wszystkim do zmian). Najczęściej to żart, ironia lub satyra, czasem określa stanowisko polityczne lub myśl filozoficzną; posługuje się skrótem myślowym, a wszystko po to, by atakować intelekt odbiorcy.

**JERZY W. WÓJCIK**

# SKORO ŚWIT

**Na parterze starej piętrowej kamienicy w górniczej dzielnicy Ligota w Gliwicach drzwi i okna są zabite deskami. Na piętrze zamieszkują trzy rodziny, które dzielą między siebie także przydomowy ogród. Jest w nim garaż, kurnik, altanka, drzewa, krzewy i grządki. Ten ogród to ulubione miejsce wszystkich lokatorów, którzy żyją zgodnie i pomagają sobie wzajemnie. W ciepłe popołudnia nieraz zasiadali razem przy ogrodowym stole wymieniając uwagi na temat uprawy ogródka. Tak było do 19 września. Tego dnia bowiem w jego ziemię wsiąkła krew...**

Jedna z lokatorek była 66-letnia Katarzyna, od 6 lat wdowa, bezdzietna, samotna kobieta. Zajmowała pokój z kuchnią. Katarzyna była emerytką, ale pracowała jeszcze na pół etatu w swoim poprzednim zakładzie pracy. Czasem handlowała także złotem, które przywoziła, odwiedzająca ją raz w roku, rodzina spod Lwowa. I pewnie z tego to właśnie względu Katarzyna uchodziła za osobę zamożną. W starej kamienicy trzy żyjące obok siebie rodziny znały się doskonale i wiedziały o sobie wszystko, a każde zakłócenie było natychmiast zauważone.

Codzienne życie domu zaczynało się o 5.00, kiedy to wstawała Kasia. Punktualnie o 5.15 sąsiedzi słyszeli, jak zamyka drzwi mieszkania i schodzi do ogródka, brała rower z altanki i jechała do pracy. 15 minut później wychodziła z domu Maria, sprzątaczka w pobliskiej szwalni. Maria, choć o połowę młodsza, była bardziej strachliwa od Kasi. Do zakładu pracy miała zaledwie 300 metrów, ale zawsze umówiona była z portierką, że ta będzie stała w oświetlonej bramie, żeby dodać otuchy idącej ulicą Marii.

Czwartek, 19 września, zaczął się w starej kamienicy tak jak zawsze. Od 5.00 Maria nasłuchiwała czekając, aż sąsiadka wyjdzie z mieszkania, miała do niej bowiem pilną sprawę. Gdy usłyszała, jak Katarzyna zamyka drzwi, wyjrzała na korytarz.

— Pani Kasiu, kochana, niech mi pani powie, jakie formalności muszę załatwić w związku z pogrzebem teścia — poprosiła. Chwilę porozmawiały na korytarzu, po czym Katarzyna zeszła na dół. Ubrana tak jak zawsze, z tą samą płócienną torbą na zakupy w ręce, znikła Marii z oczu wychodząc na podwórze. Wkrótce wyszła do pracy Maria. Gdy zamykała drzwi budynku, nagle zobaczyła wyłaniającego się z mroku mężczyznę. On też ją zauważył i krzyknąwszy głośno: Huu! przestraszył tak, że wpadła z powrotem na korytarz. Natychmiast zerwała z łóżka męża i kazała się odprowadzić do pracy. Gdy tylko przekroczyła bramę, podekscytowana opowiedziała o wszystkim portierce. Stały sobie przy drzwiach portierni i z wypiekami na twarzy rozprawiały, jakie to niebezpieczeństwa grozić mogą kobiecie na każdym kroku, gdy nagle zobaczyły, jak od strony kamienicy Marii idzie czterech mężczyzn. Zgasiły światło i obserwowały ich, gdy przechodzili obok. Nagle obydwie aż podskoczyły z wrażenia.

— Widziałam tych typów dwa dni temu o 5.00 rano wychodzących z waszego podwórka! — krzyknęła portierka.

— Ależ ja znam jednego z nich! Kilka lat temu mieszkał w naszym domu! — krzyknęła Maria. Spojrzały na siebie. I wtedy nagle Marię coś tknęło.

— Zauważyłaś, czy Kasia wyjeżdżała dzisiaj rowerem?

— Nie — zastanawiała się portierka — nie widziałam jej, ale mogłam akurat nie zauważyć tego momentu, bo robiłam sobie herbatę.

Marii nie uspokoiło jednak to tłumaczenie. Szybko posprzątała swój rejon i natychmiast pobiegła do domu.

— Musimy sprawdzić, czy Kasia wyjechała do pracy — powiedziała mężowi i wyszli razem do ogrodu. Przez okno altanki sąsiadki zobaczyli, że rower stoi na swoim miejscu. — Co się mogło stać? Gdzie jest Katarzyna? — zastanawiając się poszli w głąb ogrodu. Nagle tuż przy kurniku zobaczyli ją leżącą twarzą do ziemi...

Podbiegli, z bliska zauważyli, sasiadka ma naciągnięte na głow, dwie torby na zakupy. Marii wydawało się, że Katarzyna oddycha, krzyknęła do męża, aby biegł telefonować po pogotowie i Policję...

Niestety, parę minut później, gdy zdjęto torby z jej głowy okazało się, że wokół szyi Katarzyna ma dwukrotnie owinięty i zaciśnięty z tyłu kabel, a koło ust zakrzepłe strużki krwi (wkrótce sekcja zwłok wykaże, że zgon nastąpił przez uduszenie wskutek złamania kości gnykowej). Niedaleko zwłok policjant znalazł używany, sklejony kawałek plastra, portfel z niedużą sumą pieniędzy i pustą torbę podróżną z ortalionu. Maria stwierdziła bez cienia

# CINKCIARZ NADAJE ROBOTĘ

**W styczniu, ok. godz. 20.00 do szpitala miejskiego w Sieradzu przywieziony został siedemdziesięcioletni Stanisław W. Na głowie miał sporo rozległych i głębokich ran, które na szczęście nie zagrażały jego życiu. Funkcjonariuszom Policji oznajmił:**

— Byłem, jak zwykle, sam w mieszkaniu. Spodziewałem się w każdej chwili nadejścia syna. Gdy ktoś zapukał, otworzyłem bez podejrzeń. Weszło kilku panów. Rzucili się na mnie, żądali pieniędzy oraz złota. Powiedziałem, że nie mam, a oni nadal: dawaj, bo cię zabijemy. Od bicia straciłem przytomność. Na jak długo, tego nie mogę powiedzieć. Oni zaraz uciekli. Wzięli z mieszkania czternaście butelek wódki zakupionych przez syna. Zdaje mi się, że nic więcej.

Policję zaalarmował sąsiad Stanisław W., funkcjonariusz Służby Więziennej. Specjalistom z pionu operacyjno-rozpoznawczego Policji powiedział:

— Widziałem grupę młodych mężczyzn wychodzących z mieszkania Stanisława W. Nie było podstaw do podejrzeń o napad. Nie dobiegły stamtąd żadne krzyki czy wołanie o pomoc. Jeden z mężczyzn wydał mi się znajomy. Mógłbym przysiąc, że gdzieś go widziałem.

Sąsiad Stanisława W. przedstawił swym kolegom rysopis mężczyzny, który uczestniczył w napadzie.

— To mógłby być Dariusz K. — stwierdzili prawie jednocześnie funkcjonariusze Służby Więziennej. — Naczelnik Zakładu Karnego w Sieradzu dał mu przepustkę, ale on z niej nie powrócił. Na pewno się ukrywa, co nie wyklucza jego udziału w przestępczych skokach.

Element przestępczy nie pozostał głuchy na apel funkcjonariuszy Policji o pomoc w znalezieniu Dariusza K. Drobnym złodziejaszkom i włamywaczom zawsze się wydaje, iż mając jakieś zasługi dla sprawiedliwości, unikną rozliczeń z własnych grzechów. Gorliwie szukali Dariusza K. Byli autentycznie niepocieszeni, że nie mogą posłużyć się jakimś konkretem. Jeden wykazał się szczególną aktywnością. Podczas spotkania z funkcjonariuszem służby operacyjno-rozpoznawczej oznajmił:

— Darek się ukrywa. Prawie nie wychodzi z meliny. Ale kręci się po knajpach jego kumpel, może nawet wspólnik od skoku na samotnego mężczyznę.

Zdziwiony i niczego nie spodziewający się Waldemar H. został doprowadzony do KRP i przesłuchany.

— Nie chodzę na tak śmierdzące roboty — powiedział. Rozumiejąc jednak, że policjanci są na tropie szajki, która dokonała napadu na Stanisława W., postanowił wyjść z tej afery cało. Uważał, że zapewni mu to szczere poinformowanie funkcjonariuszy Policji o tym, jak doszło do napadu.

— Nadałem te robotę — stwierdził. — Pragnąłem zemścić się na cinkciarzu. Waldemarze W. On i jego ludzie nie pozwalali mi handlować walutami przed bankiem i Pewexem. Sam Waldemar, szef cinkciarzy, groził mi nożem i żyletką. Wpadłem więc na pomysł, żeby go postraszyć. Uważałem, iż najlepiej będzie, gdy straci parę tysięcy dolarów. Znalazłem chętnych do oskubania Waldka. Dałem im adres jego ojca. Powiedziałem, że bywa tam prawie codziennie pomiędzy siedemnastą i osiemnastą i że jest bardzo tchórzliwy, więc łatwo odda forsę. Zapewniłem, że Waldek, we wskazanym przeze mnie dniu, mieć będzie z sobą pięć do siedmiu tysięcy dolarów. Ale Waldka u ojca nie spotkali. Mieli później do mnie o to pretensje.

Waldemar H. twierdził, iż nie zna imion i nazwisk ludzi, którym zlecił robotę. W ich identyfikacji pomogli funkcjonariuszom Policji inni przedstawiciele przestępczego światka oraz kelnerzy i barmani zakładów gastronomicznych. Droga ustaleń była trudna i pokrętna. Każda identyfikacja wymagała dużo czasu i mozołu. Lecz rezultaty tej pracy były

wątpliwości, że portfel należał do Katarzyny, natomiast torba jest jej nie znana. Wokół zwłok trawa była wydeptana, podobnie jak w innym jeszcze miejscu — koło garażu. Ślady świadczyły, że napastników było kilku, że czatowali na Katarzynę koło garażu, zaatakowali, zakleili jej usta plastrem i powlekli w pobliże kurnika, gdzie została uduszona. Portfel musiał wypaść w czasie szamotaniny i nie został przez napastników zauważony. Przy denatce nie znaleziono kluczy, a jej mieszkanie było zamknięte. Otworzone kilka godzin później w obecności członka rodziny nie nosiło śladów plądrowania. A zatem sprawcy z jakiegoś powodu nie dostali się do niego.

Maria opowiada policjantom o mężczyźnie, który przestraszył ją rano i o tych czterech, których widziały obie z portierką. Mówi też, że zna jednego z nich. Kilka godzin później Karol S. zostaje zatrzymany. Nie zaprzecza, że znał Katarzynę, mieszkał przecież kiedyś w tym domu, ale kategorycznie twierdzi, że nie bywał tam od dawna. Dzisiejszą noc aż do 8.00 rano spał we własnym łóżku, co stanowczo stwierdzają jego rodzice. Policja nie porzuca jednak tego tropu starannie sprawdzając tryb życia i kontakty Karola S., znanego recydywisty włamywacza. Najbliższym kumplem Karola był ostatnio Jerzy, również wielokrotny włamywacz.

I nagle sprawa zaczyna toczyć się błyskawicznie. W mieszkaniu Jerzego Policja znajduje cały magazyn kożuchów, kurtek, radiomagnetofonów, zegarków itp., zastaje tam także dwóch Rosjan. Oleg i Sasza przybyli do Polski z Kijowa i pracowali na kontrakcie w kopalni. Za pijaństwo zostali wyrzuceni z pracy i hotelu robotniczego, gdzie mieszkali. Nie zamierzali jednak wracać do kraju, poznawszy bowiem Jerzego znaleźli u niego dach nad głową i — jak się wkrótce okazało — także „zatrudnienie". Jerzy razem z Karolem i trzecim jeszcze kumplem, Markiem chodzili na włamania i do swojego zespołu postanowili dokooptować Rosjan.

Pomysł obrabowania Katarzyny poddał oczywiście Karol. Nim zaplanowali szczegóły, poszli zrobić najpierw rozpoznanie miejsca. To wtedy widziała ich portierka. Napad zaplanowali dokładnie. Sasza i Marek mieli obezwładnić i zakneblować Katarzynę. Karol, Jerzy i Oleg odebrać jej klucze i obrabować mieszkanie. Nie przewidzieli, że starsza pani będzie miała tyle siły. Związana, z zaklejonymi plastrem ustami Katarzyna rzucała się usiłując oswobodzić. Pilnujący jej dwaj Rosjanie i Marek niepokoili się natomiast, że kumple poszli obrobić mieszkanie bez nich i oszukają ich przy podziale łupów. Nie mieli więc zamiaru bawić się w niańki, chcieli jak najszybciej dostać swoją działkę. Jeden z nich zerwał rozciągnięty między trzepakiem a drzewem sznur, zawiązał go na szyi Katarzyny i zacisnął...

Pierwszy wybiegł z ogródka Oleg. Zobaczył wychodzącą z budynku Marię i bojąc się zostać zapamiętany, postraszył ją głośnym krzykiem. Jego kumple byli w tym czasie na górze i właśnie mieli otworzyć drzwi mieszkania Katarzyny, gdy wróciła przerażona Maria. Schowali się i czekali, aż wyszła wraz z mężem z domu, po czym zrezygnowali z wejścia do mieszkania uważając to za zbyt niebezpieczne. Wszyscy spotkali się na ulicy i wrócili do domów. Po drodze wyrzucili klucze do strumyka i klęli na czym świat stoi, że zerwali się wczesnym świtem na próżno i napracowali za darmo...

**ELŻBIETA SITEK**

**PS** Wszystkie imiona zostały zmienione.

---

zbieżne z oczekiwaniami. Potwierdziły ustalenia funkcjonariuszy Zakładu Karnego w Sieradzu; prowodyrem grupy okazał się bowiem rzeczywiście Dariusz K., przestępca, który za dobre sprawowanie dostał przepustkę. Do stworzonej przez siebie szajki zwabił: Tomasza Sz. i Stanisława G. W tym składzie dokonali napadu na mieszkanie Stanisława W.

Wszyscy trzej członkowie bandyckiej grupy byli w przeszłości karani za napady i włamania. Poznali się w sieradzkim więzieniu. Ślubowali sobie pomoc, deklarowali chęć przestępczego współdziałania. Cechowała ich duża brawura, lecz równocześnie przezorność. Hołdowali zasadzie: do roboty razem, po robocie — każdy w swoją stronę.

Stanisław G. lubił przebywać w restauracji „Marusia". Tam czuł się bezpiecznie. Otaczały go zazwyczaj te same przyjazne mu dziewczyny, z którymi szybko się dogadywał. W „Marusi" został też zatrzymany. Jak wielu doświadczonych kryminalistów, odmawiał rozmów i wyjaśnień. Trwała więc dalej żmudna i na pozór mało efektywna praca rozpoznawcza. Prowadzili ją doświadczeni funkcjonariusze: komisarz Leonard Klimczak z Wydziału Operacyjno-Rozpoznawczego KWP w Sieradzu i komisarz Leszek Pawlak z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego — również KWP.

W toku aktywnych działań, wymieniona para funkcjonariuszy uzyskała kolejną, operacyjną informację, że Dariusz K. i Tomasz Sz. umówili się na spotkanie w restauracji „Turystyczna". O godz. 16.30 Darek miał już plan kolejnego napadu.

Sieradzcy policjanci zjawili się wcześniej. Rysopisy poszukiwanych znane im były bardzo pobieżnie. Znakiem rozpoznawczym, zgodnie z uzyskaną informacją, miała być wiśniowa, przypuszczalnie skórzana kurtka, którą nosił Tomasz Sz.

W takiej właśnie kurtce wszedł do „Turystycznej", punktualnie o godz. 16.30, młody, postawny mężczyzna. Gdy stwierdził, że Dariusza nie ma, chciał opuścić lokal. Udaremnili mu to przedstawiciele sieradzkiej Policji.

Zatrzymanie Tomasza Sz. i ogłoszenie tego faktu spowodowało natychmiastową reakcję. Zadzwonili policjanci z Nowego Targu, powiedzieli, że Tomasz Sz. był przez nich poszukiwany z podejrzeniem o liczne przestępstwa. Nadszedł również telefonogram z Inowrocławia. Funkcjonariusze tamtejszej Policji zapytywali:

— Mieliście coś do Dariusza K.?

— Mieliśmy i nadal mamy — odpowiedziano.

— No to możecie go wyłączyć. Zatrzymaliśmy go, gdyż u nas dokonał wielu przestępstw, lecz w areszcie śledczym popełnił samobójstwo.

Nadszedł właściwy czas, by „zgarnąć" Waldemara H., tego, który „nadał robotę" w Sieradzu. On jednak nie czuł się już tak pewnie, jak na początku sprawy. Mając przed oczyma wizję sądu i więzienia — prysnął bez śladu. I tylko przypadek sprawił, że nie na zawsze. Waldemar H. poszukiwany już listem gończym przez prokuraturę, kupił sobie udział w wycieczce do Niemiec czy Austrii. Pech chciał, że na przejściu granicznym w Świecku został rozpoznany przez mieszkańca Sieradza. Strażnicy graniczni zatrzymali Waldemara H. Nie przyznawał się do swego nazwiska, twierdził, że w autokarze skradziono mu dokumenty.

Niebawem bandycka szajka stanęła przed sądem. Zapadły wyroki. Tomasz Sz. skazany został na 8 lat i 6 miesięcy więzienia, Stanisław G. — na identyczną karę, a Waldemar H. — na 3 lata i 6 miesięcy pobytu za kratkami.

**EDWARD NOWAK**

---

# ZAGRANICZNA KRONIKA POLICYJNA

## ● NIEPOKOJĄCA STATYSTYKA

Z opublikowanych przez brytyjskie ministerstwo spraw wewnętrznych statystyk wynika, że przestępczość kryminalna w pierwszym półroczu 1991 roku, w porównaniu z ubiegłym rokiem, wzrosła o 18 proc. Od dziesięciu lat, średni roczny wzrost przestępczości był rzędu 6 proc. Ogółem brytyjska policja zanotowała 4,9 mln przestępstw i wykroczeń. Najbardziej wzrosły kradzieże samochodów (o 25 proc.) oraz kradzieże przedmiotów z samochodów (1,4 mln tego rodzaju czynów przestępczych). Natomiast liczba ciężkich przestępstw wzrosła o 5 proc.

## ● WZROST TERRORU W RPA

Fala terroru, która ogarnęła aglomeracje zamieszkane przez czarną ludność, nie ominęła również dzielnic bogatych białych mieszkańców RPA. Według wyników badań południowoafrykańskiej izby handlowej, oprócz ponad trzech tysięcy ofiar śmiertelnych w starciach między różnymi plemionami czarnej ludności, zanotowano również w 1990 roku na całym terytorium RPA około 15 tys. zabójstw, czyli prawie dwa morderstwa co godzinę.

Liczba zgwałceń wzrosła do dwudziestu tysięcy na 38 milionów mieszkańców, czyli dwa razy więcej niż zanotowano w Związku Radzieckim, o zaludnieniu prawie dziesieciokrotnie większym — podkreślają kryminolodzy.

Obserwatorzy wydarzeń w Republice Południowej Afryki uważają, że terror polityczny i przestępczość kryminalna mają te same korzenie: masowe bezrobocie, brak mieszkań, zubożenie oraz beznadziejność życia czarnej ludności, ofiary apartheidu.

## ● WPADKA KOBIECEGO GANGU

Gang składający się z pięciu kobiet, który od 1984 roku dokonał serii napadów rabunkowych z bronią w ręku na banki w departamencie Vaucluse, rozbity został przez francuską policję.

Napady dokonywane były trójkami: dwie zamaskowane wspólniczki, uzbrojone w pistolety wchodziły do banku, a trzecia oczekiwała za kierownicą samochodu, gotowa do ucieczki po napadzie. W ten oto sposób kobiecy gang obrabował bank w Sorgues w styczniu 1989 roku, w Caumont-sur-Durance, dwukrotnie — 15 i 26 lutego 1990 roku, w Pontet w kwietniu 1990 roku oraz w Saturnins-les-Avignon w maju 1990 roku. Po 14-miesięcznej przerwie, ostatni napad rabunkowy z 15 lipca 1991 roku, okazał się dla kobiecego gangu fatalny. Od pewnego czasu policja Awinionu była na ich tropie. Jedną z nich aresztowano i szybko wydała wspólniczki, które do niej dołączyły w areszcie.

## ● WALKA Z NARKOTYKAMI W IRANIE

W sierpniu br. irańska policja aresztowała 1886 osób oskarżonych o handel narkotykami oraz 3659 osób z powodu zażywania środków odurzających. Skonfiskowano w tym okresie prawie 2800 kg różnorodnych narkotyków — zakomunikowała teherańska rozgłośnia radiowa. W kilku antynarkotykowych operacjach policyjnych przeprowadzonych wzdłuż granicy z Afganistanem, z użyciem irańskich sił powietrznych, rozbito 43 międzynarodowe siatki handlu narkotykami, które usiłowały przemycić do Iranu duże ilości narkotyków — podało radio teherańskie.

## ● TORTURY MEKSYKAŃSKIEJ POLICJI

Prokurator generalny Meksyku Ignacio Morales Lechuga, mianowany pięć miesięcy temu, przyznał, odpowiadając na raport Amnesty International, że meksykańska policja jest odpowiedzialna za przypadki torturowania aresztowanych osób, zaprzeczając, iż była to „codzienna praktyka".

Organizacja Amnesty International oświadczyła, że w ostatnich dwóch latach otrzymała setki raportów o torturach, które niekiedy doprowadziły do śmierci ofiar tych praktyk. W swoim oświadczeniu wymienia metody najczęściej stosowane przez policję, a także przez armię meksykańską (duszenie, pozorowanie wykonania egzekucji, wpuszczanie sproszkowanej papryki do nosa, porażanie prądem elektrycznym itd.).

Prokurator Meksyku stwierdził, że 34 policjantów, podejrzanych o stosowanie tortur, będzie wkrótce sądzonych.

**oprac. MARIAN OWCZAREK**

*Markus Wolf, były szef wschodnioniemieckich tajnych służb przybył do Monachium, gdzie zostanie przesłuchany w przygotowywanym procesie przeciwko enerdowskim służbom wywiadowczym STASI.*

*(zdj. Reuter)*

# Nauczyć się żyć

**Schronisko dla Nieletnich i Zakład Poprawczy w Warszawie-Falenicy. Budynek z okratowanymi oknami, otoczony wysokim murem. Po wyglądzie korytarzy można sądzić, że to szkoła lub internat. Spotkane na schodach dziewczyny też niczym nie różnią się od tych, które chodzą do szkoły średniej...**

Przebywają tu dziewczęta w wieku od 13 do 21 lat. Zakład, poza funkcjami wychowawczymi, spełnia rolę ośrodka diagnostycznego. Podczas 3-miesięcznego pobytu decydują się bowiem losy dziewcząt, które weszły w konflikt z prawem bądź z innych powodów znalazły się w schronisku. W tym czasie wychowawcy wraz z psychologiem starają się ujawnić przyczyny negatywnych zachowań, postawić diagnozę, po czym przekazać opinię sądowi rodzinnemu, który wydaje orzeczenie.

Pobyt w schronisku, a także późniejszy pobyt w zakładzie poprawczym ma na celu odizolowanie dziewcząt od ich zdemoralizowanych środowisk i przygotowanie do życia na wolności. Szczególny nacisk kładzie się na przyuczenie do konkretnego zawodu. Dziewczyny mają szansę uzyskać dyplom czeladnika w czterech specjalnościach: krawiectwo damskie lekkie, dziewiarstwo maszynowe, fryzjerstwo damskie i haft. Po zdobyciu kwalifikacji mogą pracować na wolności. Zanim jednak to nastąpi, muszą przejść diagnozę i pogodzić się z dolegliwościami pobytu w zakładzie.

Do zakładu trafiają też dziewczyny z tzw. dobrych domów, są one często członkiniami i zarazem ofiarami młodzieżowych gangów. Mają o tyle dobrą sytuację, że odwiedzają je rodzice, gorzej jest z dziewczynami nie mającymi rodzeństwa albo opuszczonymi przez rodziców. Jedne zeszły na drogę przestępstwa powodowane modą, chęcią dowartościowania się w gronie rówieśników, inne — bite i poniewierane przez rodzinę — po prostu nie znały normalnego środowiska, nie sposób więc mówić tu o ich winie. Tu w zakładzie muszą nauczyć się wiele, muszą nauczyć się po prostu żyć.

Wychowanki, powracające do patologicznych środowisk, mają podwójnie trudne zadanie: obronić się przed przestępczym wpływem otoczenia i utorować sobie drogę przez życie. Nie wszystkie dziewczyny mogą i tego chcą. Tych „powracających" jest około 16 proc. ze 150-osobowej grupy, która opuściła zakład w ciągu ostatnich 2 lat.

Główną dolegliwością dla dziewczyn w zakładzie jest oczywiście ograniczona możliwość poruszania się. Obowiązuje tu ścisły harmonogram zajęć. O każdej przepustce do domu musi zdecydować sąd. Dziewczyny twierdzą, że ogólnie nie jest tu źle, ale przydałoby się tylko, żeby przez okno wpadło trochę sprawiedliwości, jeśli chodzi o przepustki — zdaniem dziewcząt są w gronie wychowawców tacy, którzy niesłusznie faworyzują niektóre wychowanki, dzięki czemu mogą one częściej jeździć do domu.

Zdarza się, iż ulegają iluzji w pogoni za wolnością, uciekają „na gigant", przebywają poza zakładem miesiąc, półtora, dopóki nie odstawi ich do Falenicy Policja. Kiedyś po wakacjach nie wracało do domu poprawczego 6 dziewcząt na 36 wychowanek, w tym roku na 40 aż 18 dziewcząt nie wróciło z trwającego 42 dni urlopu wakacyjnego.

Niektóre z dziewcząt, np. 15-letnia Ania ze Zduńskiej Woli, nie ma właściwie do kogo jechać. Kiedyś mieszkała u ojca, w Czechosłowacji, teraz matka wyszła ponownie za mąż, a o córce zapomniała. Ania interesuje się sportem, pisze wiersze. Do zakładu trafiła z powodu kradzieży. 16-letnia Sylwia uczestniczyła we włamaniach i kradzieżach. W zakładzie przebywa od 2 lat, czuje się tutaj nie najlepiej. Sylwia uważa, że wychowawcy są dobrzy, ale nie zawsze sprawiedliwi. Jest najmłodszym dzieckiem spośród siedmiorga rodzeństwa. Twierdzi, że jest uparta i trudną upilnować. 18-letnia Agnieszka z Poznania pochodzi z rodziny wielodzietnej. Uczestniczyła w 3 kradzieżach, uciekała z domu i chodziła na wagary. Rodzice od 6 lat żyją w separacji, matka pije, ma ograniczone prawa rodzicielskie, nie odwiedza córki. Ma 23-letniego chłopca, stolarza, w lutym chce zdać egzamin czeladniczy i jakoś ułożyć sobie życie.

Nie do pozazdroszczenia jest również życie 17-letniej Violetty. Pochodzi z domu z ośmiorgiem rodzeństwa. Alkohol doprowadził do rozbicia małżeństwa rodziców, ojciec oddał większość dzieci do domu dziecka, w którym Violetta przebywała od 7 do 12 roku życia. Do 10 roku życia ojciec odwiedzał ją, potem kontakt się urwał. Matka odwiedziła ją po raz pierwszy w domu dziecka po 5 latach. Jeden z braci jest w więzieniu, drugi w wojsku. Violetta bardzo kocha pierwszego z braci, ponieważ jako jedyny członek jej rodziny nie wyrzekł się jej i kiedyś odwiedził ją w zakładzie.

Trzynastoletnia Kasia z Białej Podlaskiej nie ma na sumieniu żadnego przestępstwa. Uciekła z domu nie mogąc znieść pijaństwa i awantur rodziców. Przyjechała z kolegą do Warszawy i sama zgłosiła się na Policję. Do domu wracać nie chce. Matka przebywa na urlopie wychowawczym, ojciec na zasiłku dla bezrobotnych, oboje dużo piją mając

na utrzymaniu sześcioro małych dzieci (od 7 miesięcy do 13 lat). Kasia mówi, że w schronisku jej dobrze, a wychowawcy są mili.

Siedemnastoletnia Agnieszka z warszawskiej Woli poznała paczkę kolegów, z którymi z czasem zaczęła chodzić na rozboje. Jak twierdzi, nie zdawała sobie sprawy, że robi źle. Po ukończeniu kursu krawieckiego chce zacząć inne życie.

Paulina, 17 lat. Również trafiła do zakładu dzięki swojemu towarzystwu. Brała udział w kilku włamaniach do sklepów. Przez pewien czas nikt o tym nie wiedział, potem Policja wpadła na trop. Dopiero teraz uświadamia sobie, co robiła, czuje wyrzuty sumienia. Ma normalny dom, rodziców...

Dziewczyny narzekają na brak imprez rozrywkowych w zakładzie, choć czasami są organizowane dyskoteki. Do nielicznych imprez należał wspólny rajd, na który pojechały razem z chłop-

cami z Domu Poprawczego w Laskowcu. Chciałyby spotykać się z chłopakami, choć zdają sobie sprawę, że nikt nie zechce dziewczyny z pociętymi rękami.

Każda z dziewczyn to trudna osobowość, którą kształtowały specyficzne warunki, wypaczone środowiska. Poznać je to niezwykle skomplikowane zadanie dla psychologa i wychowawców, którzy starają się nie tylko pomóc, ale przekazać odrobinę uczucia, którego nikt tym dziewczynom nie dał... Kiedy rozmawiałem z dziewczynami, nie musiałem wypytywać o szczegóły, ich smutne spojrzenia wyrażały wszystko...

**WALDEMAR GAJEWSKI**
**zdj. K. Mokrzyszewski**

# Lekcja FRANCUSKIEGO

**ciąg dalszy ze s. 12–13**

nich odpuściliby i przestępca pojechałby wolno.

Mimo wszystko, pierwsza dwudziestka wybrańców z całego kraju sporo się nauczyła. Posłuchajmy, co oni mają na ten temat do powiedzenia. Mówi podkom. Leszek Wiśniewski z Piły:

— Już na pierwszych zajęciach poznaliśmy, że Francuzi to fachowcy wielkiej klasy. Ich naczelną zasadą jest bezpieczeństwo policjanta podczas działań przeciwko przestępcy. U nas odwrotnie. Broń Boże, aby coś się stało bandycie. Te ćwiczenia, które nam pokazali, powinien opanować każdy policjant, bo nie wszyscy są komandosami. Policjantów francuskich irytowały zacięcia organizacyjne (ale to jak zwykle na początku) i bardzo zależało im, aby wszyscy kursanci traktowali zajęcia super poważnie. Zaskoczyła nas trochę reakcja policjantów z Biura Techniki Operacyjnej KGP. Oświadczyli nam, że to, co Francuzi przekazują nam o metodach obserwacji, oni mają w jednym palcu. Zgadza się. Tylko dlaczego jeszcze pół roku temu ta wiedza była niedostępna dla zwykłego policjanta? Sądzę, że akurat tym punk-

tem programu powinni zająć się nasi specjaliści, a Francuzom można wrzucić inny temat.

Mówi legendarny już podinsp. Edward Misztal, odpowiedzialny w KGP za brygady antyterrorystyczne.

— Przyznaję, że pomysł, iż mam być doszkalany przez Francuzów przyjąłem dosyć sceptycznie. Po ich ruchach na macie i strzelnicy od razu poznałem, że to fachmani nad fachmanami. Nauczyli mnie m. in. nowych sposobów zakuwania w kajdanki. Na przykład moi chłopcy, jak wyciągali bandziora z samochodu, to brali go za klapy i łups go na maskę samochodu. Francuzi sprytnie wyjmują delikwenta tak, że gębę ma na asfalcie, a nogi w środku samochodu. Traci w ten sposób punkt oparcia i można go związać jak barana. Brygady antyterrorystyczne były szkolone, aby zgarniać niebezpiecznych przestępców po przekazaniu namiarów przez od-

powiednie piony. Gdy nauczymy się ich rozpracowywać przez obserwację, wtedy nasze działanie będzie bezpieczniejsze, bo bliżej poznamy ich nawyki, zdolności.

W sumie, jak oceniają wszyscy, szkolenie to było ze wszech miar skuteczne i powinno być kontynuowane.

**ZYGMUNT PODHORODECKI**
**zdj. K. Mokrzyszewski**

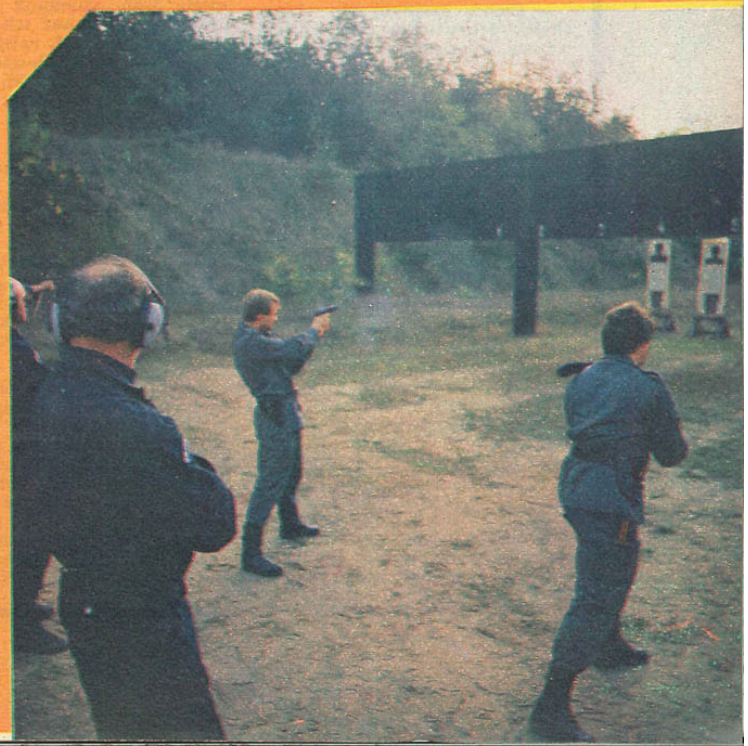

— Naciągnij więcej materiału na twarz, o, teraz dobrze. Spokojnie, nie ruszaj się, bo ci utnę ucho. Wyglądasz, jak przybysz z Marsa. Nikt cię nie rozpozna.

— Wynika z tego, że będę... będziemy bogatymi ludźmi — poprawił się. — Tnij wreszcie...

— Moje najlepsze rajstopy, chyba wiecie, ile teraz kosztują.

— Odkupimy ci w najelegantszym sklepie, oczywiście, jak tylko wrócimy do domu.

— Nie dzielcie skóry na niedźwiedziu — spojrzała na wychodzących z mieszkania mężczyzn. Uważajcie na siebie, tak się jakoś boję o was...

— Będę musiał wrócić i przyłożyć ci parę pięści, bo inaczej się nie przymkniesz. Masz szczęście, że jestem przesądny i nie cofnę się...

Pitaval współczesny

JERZY KIRZYŃSKI
MARCEL TABOR

# UCZEŃ KASKADERA

1

Czterech mężczyzn pod osłoną nocy sforsowało mur ogradzający Bank Rejonowej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" od ulicy Mehoffera w Warszawie. Psom, które wyskoczyły na ich spotkanie, podrzucili kawałek kiełbasy, a później złapali je i przerzucili przez mur. Obeszli budynek. W świetle latarni dostrzegli uchylone okno na parterze. Wspięli się jeden po drugim i po chwili byli już w środku. Cicho, na palcach przebiegli korytarzem w stronę oświetlonego pomieszczenia, w którym krzątał się stróż. Z impetem wpadli do portierni, na twarz znajdującego się tu mężczyzny skierowali strumień gazu. Przystawili pistolet do jego skroni.

— Cicho, dziadku, nie chcesz chyba, żeby twoja żona została wdową, a dzieci sierotami.

Związali mu ręce i nogi. Ułożyli na ławie, twarzą do ściany. Pozostał przy nim jeden z napastników, dwaj pobiegli w kierunku pomieszczeń kasowych. Bez trudu wyłamali drzwi, kasę wyrwali ze ściany, do której była przymocowana. Położyli na podłodze, odbili od metalowej obudowy betonową warstwę zabezpieczającą.

— Podaj wiertarkę! — polecił szef grupy. — Nie grzeb się, dawaj ją!

Jego wspólnik wyjął rękę z torby i spojrzał wymownie. Zapomnieli zabrać tak ważne narzędzie z domu, cóż za niedopatrzenie.

— Niech to cholera, musimy się wrócić do chałupy — zawyrokował szef.

Wrócili po godzinie. Wkrótce płat blachy, w którym tkwił zamek, przypominał ser szwajcarski. Wygarnęli wszystkie banknoty, załadowali do torby swoje klamoty i wynieśli się. Za oknem już świtało.

Henryk Kajda obejmujący służbę na portierni zdziwił się widokiem psów biegających na zewnątrz ogrodzenia, jeszcze bardziej zainteresowały go rajstopy leżące na korytarzu. Przyspieszył kroku, aby jak najszybciej porozmawiać o tej niecodziennej sytuacji ze swoim zmiennikiem. Zastał go wystraszonego, zorientował się w mig, co zaszło. Zawiadomili dyrektora, a następnie milicję.

— Nie miałem najmniejszych szans, zaskoczyli mnie — Józef Grzebak relacjonował przebieg zdarzenia. — Było ich czterech, mieli broń, pojemnik z gazem. Nie potrafię opisać ich wyglądu, nosili na twarzach rajstopy. Wywnioskowałem z ich zachowania, że gdybym stawiał im opór, to rzeczywiście moja żona zostałaby wdową. Bałem się...

Do pracy przystąpiła naprędce zebrana grupa operacyjno-dochodzeniowa z praskiej komendy przy ul. Cyryla i Metodego. Okazało się, że łupem sprawców padło 2 553 800 zł oraz pieniądze przechowywane w biurkach pracowników. Największego pecha miał Zenon Rut, który postradał 150 tys. zł — jak oświadczył — na zakup kolorowego telewizora.

Zainteresowano się wszystkimi osobami, które w przeszłości były karane za włamania do obiektów państwowych, jak i pracownikami banku, szczególnie zaś zwolnionymi dyscyplinarnie z pracy. Kilkusetosobowy krąg zawężony został w końcu do 29 podejrzanych. Skrupulatnie rozliczano ich z każdej godziny i minuty nocy z 8 na 9 czerwca 1983 r. Po sprawdzeniu okazało się, że każdy z tych mężczyzn miał niepodważalne alibi. Na nic się zdało rozpracowanie operacyjne „Kasa". Prokurator w wyniku niewykrycia sprawców umorzył sprawę włamania do banku przy ul. Mehoffera.

Akta sprawy trafiły do archiwum, funkcjonariusze jednak nie dawali za wygraną. Byli przekonani, że sprawcy rozzuchwaleni powodzeniem popełnią błąd.

Specjalnie powołana grupa złożona z doświadczonych pracowników wydziałów kryminalnego i dochodzeniowo-śledczego z Pałacu Mostowskich (siedziba milicji stołecznej) oraz wspomagających ich funkcjonariuszy z Pragi-Północ zajęła się analizowaniem wszystkich włamań, jakie miały miejsce na Pradze. Była to iście benedyktyńska praca. Wkrótce na ich biurkach znalazł się stos akt postępowań. W kilka dni później ubyły dwie teczki, choć wydawało się, że zniknie znacznie więcej. Przyłapano bowiem na gorącym uczynku trzech włamywaczy do sklepu. W czasie dochodzenia udowodniono im dwa inne włamy.

Niewątpliwie punktem zwrotnym w śledztwie był anonim, który wpłynął do komendy stołecznej. Jego autor informował, że w mieszkaniu Jacka Wojciechowskiego znajduje się wiele przedmiotów pochodzących z włamań i kradzieży. Nie zbagatelizowano tego sygnału. 23 czerwca grupa funkcjonariuszy wydziału kryminalnego, dokonując wcześniej podziału na role, przystąpiła do działania. Jeden z operacyjniaków zapukał delikatnie do drzwi mieszkania przy ul. Stalowej 10. Dochodziła godzina 9.30. Nikt nie odpowiadał, choć jak ustalono, w mieszkaniu przebywało kilka osób. Jeden z funkcjonariuszy obserwujący z ukrycia okna mieszkania J. Wojciechowskiego zauważył, że firanka się poruszyła. Wynikało z tego, że ktoś interesował się tym, co dzieje się przed blokiem.

Na natarczywe dobijanie się do drzwi, również nikt nie reagował. Na pomoc wezwano straż pożarną. Po chwili po drabinie wspinał się na pierwsze piętro najstarszy stopniem milicjant.

W mieszkaniu zastano Jacka Wojciechowskiego, który, jak się okazało, przebywał „na ucieczce" z zakładu poprawczego w Białymstoku, Macieja Wielogórskiego oraz ich dziewczyny. Wyniki przeszukania przeszły najśmielsze oczekiwania. Wydobyto z różnych miejsc i schowków m.in. sprzęt radiofoniczny, telewizor, zegarki elektroniczne, kożuchy. Całą czwórkę wraz z zabezpieczonymi przedmiotami przewieziono na ul. Cyryla i Metodego.

Po raz kolejny wertowano listę skradzionych rzeczy wraz z ich szczegółowym opisem. Porównywano je z zakwestionowanymi przed chwilą przedmiotami. Telefonicznie poproszono kilku poszkodowanych, którym okazano odzyskany łup.

— Panowie, przecież to mój telewizor! — nie krył swej radości z odnalezienia urządzenia jeden z nich. — Przywiozłem go z Włoch. O, tu mam kwit, że wstawiłem go do komisu przy Nowym Świecie. Proszę panów, czy mógłbym jeszcze raz spojrzeć na zegarek, który ma na ręku jeden z tych mężczyzn? — wskazał na Jacka Wojciechowskiego.

— Tak, proszę. Zechce pan podnieść nieco wyżej rękaw koszuli — funkcjonariusz zwrócił się do zatrzymanego.

— Możecie panowie sprawdzić, ale jestem przekonany, że zegarek ten też należy do mnie. Mój był firmy „Quarcchromonter", mam na to dokument.

Sprawdzono. Taki napis widniał na środku cyferblatu.

— Interesuje nas, w jaki sposób przedmioty te znalazły się u pana.

— Kupiłem na bazarze.

Po południu kolejna grupa funkcjonariuszy dokonała przeszukania w innej części miasta w mieszkaniu Wojciecha Drogana. Znaleziono m.in.: kożuchy, taśmy BASF, 56 płyt długogrających, na których widniała pieczątka „Music-Hobby". Poproszono do komisariatu także właściciela sklepu muzycznego, do którego dokonano włamania w nocy z 13 na 14 stycznia.

Kółko zaczęło się powoli zamykać. Trzeba było jeszcze, pozornie oderwane od siebie, fragmen-

ty złożyć w całość. Wymagało to, niestety, cierpliwości, a przede wszystkim czasu. Zatrzymani ani przez chwilę nie tracili rezonu, utrzymywali, że kupując od nieznajomych osób nie wiedzieli, że jest to trefny towar.

Nadszedł kolejny anonim, jego nadawca, nie ulegało wątpliwości, obserwował poczynania milicji. Doskonale wiedział również o powiązaniach grupy przestępczej. „Dobraliście się dopiero do płotek, pociągnijcie mocniej za sznurki, to i wpadną wam złodzieje większego kalibru".

I znowu kierowani przez nieznajomego informatora milicjanci trafili na skład przedmiotów pochodzących z włamań. Odzyskano tym razem radiomagnetofon, 75 sztuk płyt, pistolet startowy, kasety z nagraniami. Odwołano się, tak jak poprzednio, do ich właścicieli.

Decyzją prokuratora rejonowego Maciej Wielogórski i Jacek Wojciechowski zostali tymczasowo aresztowani, natomiast Wojciech Drogan znalazł się pod kuratelą milicji. 29 czerwca 1983 roku komenda stołeczna przejęła do dalszego prowadzenia postępowanie przygotowawcze w tej sprawie (chodziło już o kilkadziesiąt włamań).

Dokładnie zapoznano się z ustaleniami dotyczącymi włamań, z których odzyskano część skradzionych przedmiotów.

Właściciel sklepu muzycznego „Music Hobby" otwierając 14 stycznia 1983 r. drzwi wejściowe przez szybę dostrzegł ogólny nieład w części handlowej, a kiedy znalazł się w środku, ujrzał dziurę w podłodze. Oniemiały z wrażenia sięgnął po słuchawkę. Nie ulegało wątpliwości, że sprawcy przedostali się poprzedniej nocy od strony piwnic do wewnątrz. Wykorzystali w tym celu podnośnik hydrauliczny. Łupem włamywaczy padły płyty wartości około miliona zł.

Cztery dni później podobną metodą sprawcy okradli komis przy ul. Wileńskiej. Suma strat przekroczyła 1,1 mln zł. W nocy z 8 na 9 lutego nieznani sprawcy włamali się do komisu na Nowym Świecie. Tutaj straty były największe, wartość łupu przewyższała 2,4 mln zł.

Fakt, że wiele przedmiotów pochodzących z różnych włamań znajdowało się zarówno u Jacka Wojciechowskiego, jak i Wojciecha Drogana jednoznacznie sugerował, że oni obaj muszą mieć ścisły związek z tymi przestępstwami oraz ich sprawcami. Prowadzący postępowanie zdawali sobie sprawę z tego, że są już bardzo blisko rozwiązania skomplikowanej łamigłówki, wiedzieli również, że nadal są na obrzeżu wszystkich tych zdarzeń.

Zatrzymani w czasie przesłuchania cedzili każde słowo. Mówili o włamaniach, ale kiedy pytano ich z kim i kiedy ich dokonywali, raptownie milkli.

— Nie powiem już nic więcej, chcę iść pod celę. Milicja mi nie pomoże w kryminale, a oni mnie dosięgną — wyjaśniali swoje postępowanie.

Nastąpiło zahamowanie poczynań, funkcjonariusze zorientowali się, że zaczynają się kręcić w kółko. W czasie codziennych spotkań u naczelnika zgłaszano dziesiątki propozycji, wysuwano kolejne hipotezy. Nagle ktoś podpowiedział, że należy zainteresować się „Marudą", czyli 29-letnim mieszkańcem ul. Marywilskiej na Targówku. Wprawdzie większość uczestników narady doskonale wiedziała, o kogo chodzi, ale zarządzono przerwę celem zebrania całości materiałów dotyczących jego osoby.

Zbigniew Łukowski od lipca do września 1980 r. przechowywał w swoim mieszkaniu jednego z najniebezpieczniejszych przestępców w powojennej Polsce Jerzego M. vel Nierobisza. Za świadome utrudnianie postępowania karnego przeciwko „Kaskaderowi" i ukrywanie go Z. Łukowski skazany został na 2 lata pozbawienia wolności. Choć minął termin, nie zgłosił się do zakładu karnego celem odbycia kary. Postanowiono go odszukać, zamierzano mu zadać kilka konkretnych pytań.

Pod żadnym ze znanych milicji adresów nie zastano Łukowskiego, zarządzono więc poszukiwania ogólnokrajowe.

23 października 1983 r. z Zakładu Karnego w Potulicach nadesłano telefonogram o jego zatrzymaniu. W tym dniu zgłosił się do dyżurnego biura przepustek i poprosił o widzenie ze swoim szwagrem Andrzejem Węglarskim, odsiadującym 6 lat pozbawienia wolności. A. Węglarski wraz z Jerzym M. vel Nierobiszem włamali się m.in. do magazynu zakładów optycznych, skąd skradli około 17 kg srebra, hurtowni zaopatrzenia rzemiosła, gdzie zrabowano kadmowe anody. Prokurator oskarżył ich także o usiłowanie zabójstwa braci Andrzeja i Krzysztofa T. W akcie oskarżenia stwierdzono, że Andrzej T. otrzymał ranę postrzałową z jednego z trzech egzemplarzy broni, którą w dniu ujęcia miał przy sobie „Kaskader", jednak świadkowie zeznający w sądzie nie rozpoznali oskarżonych tłumacząc ten fakt zbyt dużą odległością od strzelających oraz ograniczoną widocznością. Sąd z braku niezbitych dowodów uwolnił obu oskarżonych od tego zarzutu.

(cdn.)

# NABIJANIE W BUTELKĘ

Bazarowe stoiska to często jedyna możliwość kupienia taniej różnych towarów. Skwapliwie korzystają z tego mieszkańcy stolicy, korzystają i zagraniczni goście, oferujący po niskiej cenie mocne trunki. Policja organizuje obławy, służby celne zawracają przedsiębiorczych „turystów" z przejść granicznych, a proceder kwitnie. Niedawno informowaliśmy o skonfiskowaniu przez polskich celników większej ilości kapsli, etykietek, spirytusu oraz urządzenia do kapslowania butelek. Przewozili je rumuńscy goście. Nie zawsze kontrola graniczna jest skuteczna, dopiero Policja zbiera żniwo nielegalnego handlu.

Tak właśnie było 18 września br., kiedy funkcjonariusze Wydziału Operacyjno-Rozpoznawczego KRP Warszawa-Ochota nakryli na „gorącym uczynku" dwóch rumuńskich obywateli. Zostali zatrzymani w momencie, gdy jeden z nich przyniósł z zaparkowanej przy ul. Banacha daci kolejną partię alkoholu, po czym wrócił na swoje miejsce na pobliski bazar. Policjanci znaleźli w daci 152 butelki alkoholu, wyglądającego na koniak. Na etykietkach widniał napis „Zarea", 0,7 l, 42 proc. W rzeczywistości były to 0,5-litrowe butelki „Polmosu" z podejrzaną — jeśli lepiej się przyjrzeć — zawartością. W miejscu zakwaterowania smagłolicych „turystów", w domku campingowym przy ul. Grochowskiej, do którego zaprowadziły policjantów znalezione u cudzoziemców kluczyki z breloczkiem, odkryto całą „wytwórnię" napojów alkoholowych. Znaleziono dodatkowo 52 półlitrowe i 18 litrowych butelek przygotowanego już do upłynnienia „koniaku", 17 litrów jugosłowiańskiego spirytusu przemysłowego (stosowanego do odkażania) z etykietką „ALKOHOL 96 proc." oraz mnóstwo etykietek do koniaków z napisami „Vranea" i „Unirea", opaski na szyjki butelek, sreberko i „aparaturę". „Producenci" rozcieńczali spirytus wodą z kranu, po uprzednim dodaniu herbacianej esencji, karmelu (palonego cukru) oraz olejku wanilinowego do ciast, „nabijali" roztworem butelki, naklejali etykietkę — i „koniak" był gotowy. Zawierał 20—30 proc. alkoholu, lecz przedsiębiorczy Rumuni pobierali za półlitrówkę 30 tys. zł, litrowa flaszka kosztowała 50 tysięcy.

Sprawcami tego przestępstwa są 35-letni Ion G. i 36-letni Didel A. Przedstawiono im m.in. zarzut z art. 225 k.k.

Często słyszy się o zgonach i zatruciach osób, które spożyły „importowany" alkohol. Chętnych jednak nadal nie brakuje, skoro Policja z Ochoty wciąż przyłapuje cudzoziemców na nielegalnym handlu. „Nabijanie w butelkę" — dosłownie i w przenośni — staje się coraz bardziej powszechne.

**W. GAJEWSKI**
**zdj. K. Potocki**

NVC
NEPTUN VIDEO CENTER
PRZEDSTAWIA

**KIDNAPPED (Porwanie) — sens.**
**Wyst. Barbara Crampton, Charles Napier, Reż. Howard Avedis.**

Porwanie jest typowym policyjnym trillerem. Oto mafia uprowadza licealistki, zmuszając je przez branie narkotyków do prostytucji i udziału w filmach pornograficznych. Tak właśnie dzieje się z siostrą bohaterki, która zostaje uprowadzona. Poszukiwania początkowo nie przynoszą żadnych rezultatów, do chwili, gdy do akcji włączy się młody policjant. Od tego momentu nabiera ona tempa, a dotąd bezkarni przestępcy nie mają co liczyć na chroniące ich niby legalne interesy prawo.

**SWEET LIES (Kłamstewka) — obycz.**
**Wyst. Treat Williams, Joanna Pacuła, Julianne Phillips. Reż. Nathalie Lelon.**

Nie igra się z miłością, tak mógłby brzmieć drugi tytuł obrazu. Oto do Paryża przyjeżdża agent ubezpieczeniowy, którego zadaniem jest znaleźć dowody przeciw nieuczciwemu klientowi towarzystw ubezpieczeniowych, narażającemu owe firmy na straty finansowe. Pewnego dnia na swojej drodze spotyka dziewczyny, które wcześnej założyły się o to, że go poderwą. Nieoczekiwanie jednak dla samych siebie dziewczyny zakochują się w naszym bohaterze. Jaki będzie finał tej przewrotnej love story? Warto sprawdzić.

**FIRESTARTER (Podpalaczka) — sens.**
**Wyst. David Keith, Drew Barrymore, Reż. Mark L. Lester.**

Podczas jednego z eksperymentów medycznych, prowadzonych na grupie ochotników, jeden z nich nabywa nadludzkie cechy. Owe tajemnicze właściwości przejmuje jego córka. Oboje stają się niebezpieczni dla otoczenia. Śladem bohaterów rusza grupa agentów, której zadaniem jest sprowadzić oba „eksperymentalne obiekty" do laboratorium naukowego, gdzie można byłoby prowadzić na nich dalsze badania.

Obraz mocny, obfitujący w dużo pirotechnicznych efektów specjalnych.

## „Videokonkurs" nr 3

1) Kto skomponował tytułową piosenkę do filmu „Sweet lies"?
2) W jakim gatunku filmowym specjalizuje się John Carpenter?
3) Kto jest producentem filmu „Firestarter"?

Odpowiedzi na pytania konkursowe (przesyłane na kartkach pocztowych z dopiskiem „Videokonkurs" nr 3) prosimy kierować pod adresem redakcji nie później niż 14 dni od daty ukazania się numeru „MK 997". Do rozlosowania licencjonowane kasety video.

Niniejsza rubryka jest sponsorowana przez firmę **„Neptun Video Center" (Sopot, ul. Kościuszki 42)**, dystrybutora licencjonowanych filmów video na cały kraj.

**PaS.**

SAMO ŻYCIE

# POZBYŁ SIĘ RYWALA

Do komisariatu Policji w Jerzmanowej koło Głogowa zgłosiła się młoda kobieta. Zawiadomiła o zaginięciu swojego męża, 32-letniego Mirosława A., zatrudnionego na stacji pomp zakładów górniczych w Polkowicach.

— Wyszedł do pracy na drugą zmianę i już nie wrócił — powiedziała.

Policja podjęła rutynowe czynności. Koledzy Mirosława A. oświadczyli, iż po zakończonej pracy opuścił on teren zakładów i skierował się w stronę przystanku autobusowego. Tam ślad się urwał. Policjanci z Jerzmanowej nie kontynuowali poszukiwań przypuszczając, że być może zaginiony powróci wkrótce do domu cały i zdrowy. Takie rzeczy zdarzają się przecież często. Nie tym razem...

W trzy dni później mieszkaniec Jerzmanowej 16-letni Wojciech J. szedł drogą prowadzącą przez miejscowy zagajnik. Poczuł cuchnący zapach wydobywający się z krzaków. Chłopak odnalazł przykryty gałęziami worek. Rozwiązał go i nie mógł opanować gwałtownych torsji. Natychmiast pobiegł do komisariatu.

Na miejsce przyjechali funkcjonariusze wydziału dochodzeniowo-śledczego i operacyjno-rozpoznawczego KWP w Legnicy oraz policjanci z komendy w Głogowie. Znajdujące się w stanie rozkładu zwłoki sugerowały, że jest to Mirosław A. Miejsce, gdzie znaleziono ciało, znajdowało się w odległości zaledwie 200 m od domu, w którym mieszkał z żoną i dwojgiem dzieci. Trup był wtłoczony w dwa worki połączone ze sobą miedzianym drutem. Sekcja wykazała, że przyczyną śmierci były obrażenia czaszki powstałe w wyniku zadanych siekierą ciosów.

W toku śledztwa ustalono, iż małżonkowie Mirosław i Ewa A. utrzymywali bliskie stosunki ze swym dalekim krewnym 22-letnim Mieczysławem W. Odwiedzał ich często, przynosił dzieciom słodycze i zabawki. Po Jerzmanowej krążyła pogłoska, że Ewa A. i Mieczysław W. utrzymują ze sobą kontakty seksualne.

Krytycznego wieczora Mirosław A. ponad wszelką wątpliwość wrócił do Jerzmanowej. Autobus minął przystanek o jakieś 100 metrów i dopiero wtedy zatrzymał się. Kierowca dobrze zapamiętał pasażera, który zwymyślał go za niezareagowanie na sygnał „na żądanie" Pan A. miał więc do przejścia dłuższy odcinek niż zazwyczaj.

Ewa A. sugerowała prowadzącym śledztwo odpowiedzialność sąsiadów. „Nie lubili go, miał wielu wrogów" powtarzała wielokrotnie. Hipoteza ta została jednak odrzucona. Policja podejrzewała, że sprawcą zabójstwa jest Mieczysław W. Został on zatrzymany i przesłuchany. Początkowo zaprzeczał, później jednak przyznał się do popełnienia zbrodni.

— Ewa należała do mnie, nie do niego. On budził w niej wstręt, tak samo jak w dzieciach. Chciały, abym to ja był ich tatusiem. Czekaliśmy z Ewą, aż sprawa zostanie umorzona. Potem zamierzaliśmy się pobrać.

Plan zbrodni ułożony przez Mieczysława W. był prosty, wręcz prymitywny. Zamierzał zabić Mirosława A. na ganku jego własnego domu. U Ewy A. zjawił się, jak tylko jej mąż wyszedł do pracy. Razem zjedli obiad. Pobawił się z dziećmi, obejrzeli dobranockę w telewizji. Około dwudziestej kazał kochance ułożyć dzieci do snu. Upłynęło sporo czasu, zanim zasnęły. Ewa A. została przy nich. Miała pilnować, aby się przypadkiem nie obudziły i nie zobaczyły czegoś, czego zobaczyć nie powinny. On wyszedł przed dom. Przedtem zgasił światło przed gankiem. Ściskając w ręku siekierę, należącą do przyszłej ofiary, czekał na autobus. Autobus nadjechał punktualnie, minął jednak przystanek. Mieczysław W. zaniepokoił się. „Co się dzieje, dlaczego nie przyjechał jak zwykle?" Czekał dalej. Wkrótce ujrzał znajomą postać. Cofnął się jeszcze bardziej w cień. Skrzypnęła furtka.

Zmęczony ciężką pracą Mirosław A. wracał do domu, aby zjeść kolację i ułożyć się do snu. Wszedł na schody. Tylko pięć stopni dzieliło go od drzwi. Na jego głowę spadło ostrze siekiery. Po pierwszym ciosie nastąpił drugi, po nim trzeci. Morderca zaciągnął zwłoki za róg budynku. Przyniósł z piwnicy dwa worki jutowe i kawałki drutu miedzianego. Wyjechał taczką na ulicę. Było pusto. Pchał taczkę z przerażającym ładunkiem w stronę zagajnika. Chciał wyrzucić jej zawartość z dala od drogi, ale taczka przewróciła się. Prowadzić ją po ciemku nie było łatwo. Ułożył więc worek kilka metrów od drogi przykrywając go starannie gałęziami.

Pchając pustą tym razem taczkę wrócił na miejsce zbrodni. Przez kilka godzin polewał wodą z gumowego węża taczkę, schody, trawę, ścieżkę od furtki do ganku. Starannie umył siekierę. W piecu spalił spodnie, na które trysnęła krew. Swoją kochankę dokładnie poinstruował, jak ma się zachowywać i co zeznawać.

— Pamiętaj, on nie wrócił z pracy — powiedział między innymi. Aby lepiej wbić kobiecie do głowy swoje wersję, nagrał je na taśmę. Był to wielki błąd z jego strony. Taśma ta, za pośrednictwem ojca mordercy, trafiła do rąk Policji.

**PIOTR KITRASIEWICZ**

§ Radca prawny odpowiada

## ZWOLNIENIA OD PRACY

Od 19 października 1991 r. obowiązują nowe przepisy dot. zwolnień od pracy wprowadzone do rozdziału 3 rozporządzenia RM z 20 grudnia 1974 r. w sprawie regulaminów pracy oraz zasad usprawiedliwiania nieobecności w pracy i udzielania zwolnień od pracy, rozporządzeniem RM z 1 października 1991 r. ogłoszonym w Dz.U. nr 92 pod poz. 409. Nowelizacja ww. przepisów ograniczyła tytuły prawne do uzyskiwania zwolnień od pracy i jest pierwszym etapem dalszych ograniczeń mających na celu wyeliminowanie zwolnień od pracy do wykonywania zadań, które powinny być realizowane w ramach urlopu bezpłatnego, wypoczynkowego lub w czasie wolnym od pracy.

Uchylono podstawy prawne oraz zlikwidowano przepisy dające możliwość pracodawcy udzielania zwolnień od pracy:

1) w celu umożliwienia pełnienia statutowych funkcji członka centralnej lub wojewódzkiej instancji organizacji politycznych i młodzieżowych, Naczelnej Organizacji Technicznej, a także udziału delegatów tych organizacji w zjazdach i konferencjach sprawozdawczych i wyborczych,

2) do załatwiania ważnych spraw społecznych na wniosek terenowego organu administracji państwowej,

3) w celu pełnienia funkcji kierowniczych, instruktorskich i wychowawczych na kursach i obozach harcerskich oraz w placówkach wypoczynku wakacyjnego dzieci i młodzieży,

4) w celu odwiedzenia rodziny, dla pracowników werbowanych oraz zatrudnionych w odległości uniemożliwiającej codzienny dojazd do pracy,

5) do udziału zawodnika sportowego lub działacza kultury fizycznej lub turystyki w zawodach sportowych i obozach szkoleniowych albo imprezach turystycznych,

6) jednorazowych określonej liczbie pracowników w celu przygotowania i wzięcia udziału w zjeździe lub centralnych dożynkach,

7) pracownikom będącym członkami organów związku kółek rolniczych w celu wzięcia udziału w posiedzeniach tego organu,

8) do wykonywania prac rolnych przez pracowników użytkujących gospodarstwa rolne oraz pomagających w prowadzeniu gospodarstwa,

9) pracownikom skierowanym na turnus rehabilitacyjny dla inwalidów ciężko poszkodowanych w celu przeprowadzenia rehabilitacji usprawniającej.

**Grażyna Grząsek**

SPORT

# ZDROWIE CORAZ DROŻSZE

Geolog ze Stanów Zjednoczonych Millew Quarles przeznaczył 100 tys. dolarów nagrody dla tego, kto potrafi podwoić długość ludzkiego życia. Czy uda się w najbliższym czasie znaleźć taką metodę? Nie zapominajmy przy tym, że w ciągu ostatnich 100 tys. lat trwania naszego gatunku średnia długość życia człowieka wzrosła trzykrotnie.

W jaki sposób zatem można zahamować starzenie? Wiele jest, niekiedy sprzecznych ze sobą, poglądów na ten temat. Jedni uważają, że starzenie, a zarazem i śmierć są wynikiem zużycia się organizmu, inni, że jest to genetycznie zaprogramowane i zegar życia nastawiony jest na określony czas.

Naliczono około 400 teorii wyjaśniających proces starzenia się, wielu też było śmiałków porywających się na odwrócenie tej niekorzystnej sytuacji. Np. Bułgar S. Woronow uważał, że tajemnica tkwi w hormonach płciowych, stąd też operacyjnie przywracał pacjentom w starszym wieku młodość wszczepiając im małpie jądra. Metoda ta skutkowała największym w dziejach Afryki polowaniem na małpy, do tego zabieg odmładzania, ze względu na reakcje odrzucania przeszczepu, trzeba było powtarzać co pół roku. Jego krajan natomiast zachwalał spożywanie kwaśnego mleka i jeżeli nie następowały oczekiwane zmiany zalecał pacjentom usunięcie ostatniego odcinka jelita. On sam nie poddał się takiej operacji. Przejawem istnienia zegara biologicznego jest występowanie rytmów biologicznych, a więc cykliczności zmian natężenia czynności życiowych, fizjologicznych, metabolicznych w zależności od pory doby, roku lub innych odcinków czasu. O tym, że życie człowieka przebiega w wyraźnej zależności od naprzemiennie zachodzących zmian w otaczającym świecie, nie trzeba nikogo przekonywać. Najlepszym tego przykładem są różne reakcje organizmu i zmiany natężenia czynności poszczególnych układów lub narządów w zależności od pory doby.

Zwolennicy zegara biologicznego uważają, że w DNA każdej komórki istnieje kilka genów starości. Czy naukowcom rzeczywiście uda się sterować poczynaniami genetycznymi? Z drugiej strony należy zadać pytanie, czy człowiekowi wolno ingerować w procesy dekompozycyjne rozgrywające się w komórkach?

Tak czy inaczej tajemnica długowieczności kryje się w samym człowieku. Organizm ludzki dysponując ogromnym zapasem może znacznie przedłużyć okres twórczej i aktywnej pracy i życia, trzeba mu w tym dziele jednak nie przeszkadzać, a wspomagać.

Tymczasem statystyki są alarmujące: coraz częściej umieramy z powodu chorób układu krążenia, nowotworów. W całym cywilizowanym świecie podjęto walkę z zawałami serca, główny nacisk położono na zmianę codziennego pożywienia (w praktyce oznacza to ograniczenie spożycia produktów zwierzęcych na korzyść żywności pochodzenia roślinnego). U nas dalej w jadłospisie królują: kotlety, sosy, torty, kremy. Zwyczaj obfitego jedzenia przekazywany jest z pokolenia na pokolenie. Jakże często pokutuje przekonanie, że smukła sylwetka charakteryzuje człowieka chorego na gruźlicę lub raka. Myślę, że warto przypomnieć słowa prawnika i poety z XVI w., profesora Akademii Krakowskiej Piotra Rozkusza, który krytykując zamiłowanie rodaków do ucztowania mawiał: „Polacy jedzą nie po to, by żyć, lecz, aby umrzeć".

Czy w tej materii gonić będziemy świat? Np. Pentagon postanowił pozbyć się oficerów i podoficerów z nadwagą. Kto w wyznaczonym czasie nie upora się ze zbędnymi kilogramami, straci pracę. Nie ulega wątpliwości, że utrzymywanie się w doskonałej kondycji fizycznej i psychicznej staje się synonimem sukcesu. W Stanach Zjednoczonych powstało towarzystwo nowoczesnego spędzania czasu wolnego preferujące: piesze i rowerowe wycieczki, jak również frisbee, golfa czy też narty wodne.

Ze smutkiem należy zauważyć, że w okresie przemian, jakie nastąpiły w różnych sferach życia społeczno-politycznego, na daleki plan zeszło zainteresowanie kulturą fizyczną, a przecież w pasywnym trybie życia kryje się wielkie niebezpieczeństwo. Czy zatem należy przyznać rację francuskiemu antropologowi R. Cailloisowi, który twierdzi, że „Sport jest odzwierciedleniem charakterystycznych cech każdego społeczeństwa"?

Występujący na seminarium zorganizowanym przez Radę Europy na temat planowania przyszłości sportu przedstawiciel Wielkiej Brytanii powiedział m.in.: „...brak odpowiedzialności za własne zdrowie i za niechęć do ćwiczeń może być z czasem oceniany jako nieodpowiedzialność społeczna jednostki. Co z kolei może z czasem skłonić państwo do rezygnacji z wszechopiekuństwa w sferze zdrowia wszystkich obywateli i że usługi zdrowotne będą coraz droższe dla tych, którzy bez istotnych powodów nie będą dbali o swe zdrowie, nadmiernie paląc, pijąc, nie gimnastykując się itp."

**RAFAŁ ŁUKASZEWSKI**

## UWAGA! NASZ KONKURS „KIBIC DOSKONAŁY"

**Rozwiązanie konkursu ogłoszonego w nr. 20/91 „MK 997":**

**1. Kajakarze, 2. Przemysław Saleta już w 46 sek. znokautował Amerykanina, walka ich zakontraktowana była na 4 rundy, 3. Henryk Jankowski. Nagrodę wylosował pan Bazyli Aleksiejuk z Lublina. Gratulujemy.**

**A oto kolejne pytania:**

1. „Królom wydaje się, że ich żołądki są zbudowane inaczej niż zwyczajnych ludzi" — o kim tak mówiono?
2. „... skończył dziś 80 lat. Cóż za wspaniałe osiągnięcie dla człowieka o jego nawykach! Całą jego ziemską pielgrzymkę znaczyło lekceważenie zdrowego rozsądku. Zawsze robił to co chciał, nie bacząc na konsekwencję". Wymień nazwisko sędziwego jubilata.
3. Najsłynniejszym grubym reżyserem był oczywiście...

Wśród Czytelników, którzy w ciągu 10 dni przyślą rozwiązanie konkursu **(z dopiskiem „Kibic doskonały")** rozlosujemy nagrodę ufundowaną przez redaktora naczelnego „Magazynu Kryminalnego 997".


magazyn 997 kryminalny

**WYDAJE KOMENDA GŁÓWNA POLICJI**

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: **ELŻBIETA CIERLICA** (redaktor naczelny 45-61-26, 20-54-18 lub MSW 149-70), **Waldemar Gajewski, RYSZARD HRYCYK** (red. graficzny), **Krzysztof Kilijanek, JERZY KIRZYŃSKI** (zastępca redaktora naczelnego, 45-61-72, 20-16-39), **Piotr Kitrasiewicz, Tadeusz Noszczyński, Edward Nowak, Adam K. Podgórski** (oddział red. w Katowicach, 510-221 w. 1965), **Zygmunt Podhorodecki, Elżbieta Sitek, Paweł Szlachetko, Jolanta Ślifierz, MARCEL TABOR** (sekretarz redakcji, 45-61-32, 20-16-39), **Krzysztof Zaczkiewicz** (red. techniczny)

FOTOREPORTERZY: **Krzysztof Mokrzyszewski, Krzysztof Potocki**

ADIUSTATOR: **Agata Guzdek-Wrotna**

KOREKTA: **Małgorzata Boruta, Elżbieta Mirowska**

ŁĄCZNOŚĆ Z CZYTELNIKAMI: **Maria Pawlak, 45-61-15**

STALE WSPÓŁPRACUJĄ: **M. Misiewicz, P. Moszner, M. Owczarek, K. Stępniak, J. W. Wójcik.**

ADRES REDAKCJI: 00-896 Warszawa, ul. Ogrodowa 28/30. Telefon sekretariatu 45-61-26, kasa 45-60-86. telefax 45-68-67 lub MSW 36867. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych oraz zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów nadesłanych artykułów.

Prenumerata w redakcji wyłącznie z jednostek Policji.

**Cena — 21 000 zł**

Zamówienia i reklamacje w sprawie kolportażu w IV kwartale kierować pod adresem redakcji, ul. Ogrodowa 28/30, 00-896 Warszawa, tel. 45-68-66. Wpłaty należy dokonywać na konto OO NBP Warszawa 1052-7995-130 ZOJCP (prenumerata)

OGŁOSZENIA: Przyjmujemy pod adresem redakcji „MK 997". Cena: słowo — 5000 zł, cm² — 7500 zł. Kolorowane dwukrotnie droższe. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne, 00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77

**numer zamknięto 19 XI 1991**

**zam. 5176**

**REDAKTOR DYŻURNY**
**Maria Pawlak**

# panorama 997

## ZAPAMIĘTAJ:

*Jeśli o mnie chodzi, to aby uzyskać to, czego chcę, postępuję w taki sposób, aby mi to ofiarowano.*

**Lech Wałęsa**

## MYŚLI

*Potrzebna jest równowaga między wolnym rynkiem a opieką społeczną.*

**Robert Solow**

*Wszystko, co jest cokolwiek WARTE, to jest w praktyce nieopłacalne.*

**Jonasz Kofta**

*Nie jestem przeciw policji, ja się jej tylko boję.*

**Alfred Hitchcock**

*Wyobraźcie sobie tę ciszę, gdyby ludzie mówili tylko to, co wiedzą.*

**Karel Čapek**

## KRZYŻÓWKA nr 22

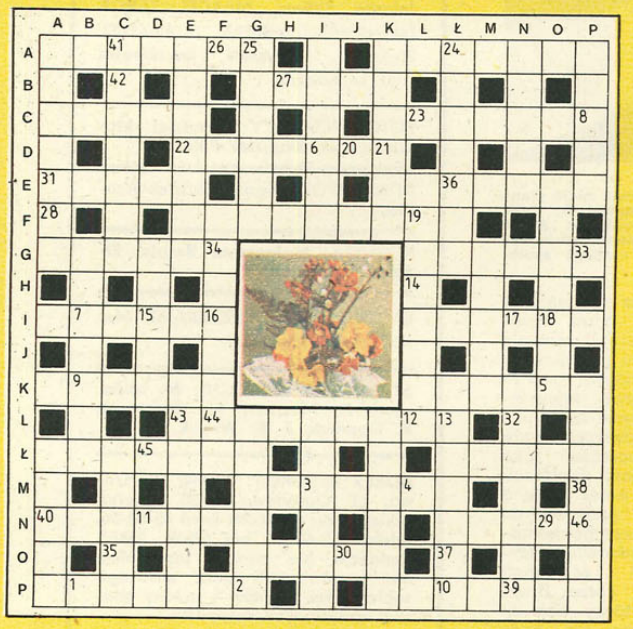

**Litery z ponumerowanych pól, napisane w kolejności od 1 do 46, utworzą rozwiązanie, które wystarczy nadesłać bez wyrazów krzyżówki.**

**Poziomo:**

A) kontrabanda ● kafel szklany. B) materiał na ubranie. C) liście lub strąki kasji (strączyńca) ● usposobienie. D) ojciec Ajaksa i Teukryta. E) wieża służąca jako więzienie ● podwyższenie dla piosenkarzy, aktorów. F) miękka czapka bez daszka. G) stop miedzi z cynkiem ● imię męskie. I) skorupa ślimaka ● członek kasty kapłańskiej w Indiach. K) zły duch ● gaz musztardowy. L) na nodze. Ł) wielokondygnacyjny budynek mieszkalny składający się ze spiętrzonych willi betonowych ● taniec towarzyski.. M) skrzywienie kręgosłupa do przodu. N) opera Sierowa (anagram wyrazów negr + oda) ● część dzwonu wydająca dźwięk. O) bieda. P) drzewo dostarczające przyprawowej gałki ● gwałtowny spadek ciśnienia krwi; zapaść.

**Pionowo:**

A) potrawa z mielonych mięs ● z odaliskami, strzeżony przez eunucha. B) brzusiec. C) z Maszkowic, miecznik krakowski, jeden z dowódców w bitwie pod Grunwaldem ● danie serwowane w barze. D) kompozytor opery „Poławiacze pereł", „Carmen". E) sułtan turecki (1664—1703) ● człowiek o wątłej budowie ciała. F) obywatelka z Kijowa. G) pierwiastek chemiczny ● kamienna postać mężczyzny dźwigającego balkon. I) roślina warzywna ● rewia. K) Joseph (1801—43), kompozytor austriacki ● taniec śląski. L) ma dużo pieniędzy w organizacji. Ł) drzewo liściaste ● deszczochron. M) uczta pierwszych chrześcijan. N) szał, wściekłość ● maszyna do szycia skóry. O) imię męskie. P) krzyżacka wyprawa o charakterze łupieżczym ● belka poprzeczna, wiązar.

**SYLWESTER LIPIŃSKI**

●

Wśród Czytelników, którzy w terminie 14-dniowym nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosowana zostanie nagroda 50 000 złotych. Na kartkach pocztowych lub kopertach prosimy dopisać: „Krzyżówka nr 22".

**Rozwiązanie z nr. 19**

Obaj szkodzą sobie. Ten, co za wiele obiecuje i ten, co za wiele oczekuje.

**Nagrodę wylosował**

**Robert Jasiński — Pisz.**

## NIECHLUBNE PRZODOWNICTWO

Stany Zjednoczone to kraj, w którego więzieniach znajduje się największa liczba nieletnich, skazanych na karę śmierci. Poza Irakiem i Iranem, to również kraj, gdzie najwięcej nieletnich zostało straconych — stwierdza Amnesty International w opublikowanym 9 października br. raporcie.

Według tej międzynarodowej organizacji przestrzegania praw człowieka do 31 lipca 1991 roku 31 Amerykanów poniżej osiemnastu lat znajdowało się w celach śmierci zakładów karnych Stanów Zjednoczonych. Od końca lat siedemdziesiątych ponad 90 osób — w wieku od 15 do 17 lat w chwili popełnienia zbrodni — zostało skazanych na karę śmierci.

Stany Zjednoczone podpisały, ale nie ratyfikowały dotychczas umów międzynarodowych, zabraniających egzekucji nieletnich.

## 2029 EGZEKUCJI W 1990 ROKU

Z niedawno opublikowanego raportu Amnesty International dowiadujemy się, że w 1990 roku na całym świecie „legalnie" stracono 2029 osób, z czego na Iran przypada 757 egzekucji, Chiny 730, Związek Radziecki 190, Nigerię 121 oraz Stany Zjednoczone, gdzie wykonano 23 wyroki śmierci.

## WZROST KRADZIEŻY SAMOCHODÓW

Francuskie towarzystwa ubezpieczeniowe alarmują: liczba skradzionych samochodów wzrosła z 243 593 w 1989 roku do ponad 270 000 w 1990 roku, czyli o 10,8 proc. Według wstępnych danych za trzy kwartały bieżącego roku sytuacja uległa dalszemu pogorszeniu. W przybliżeniu kradzieże samochodów we Francji w 1991 roku wzrosną aż o 20 proc.

**(om)**

## • FRASZKI •

**WŁADZA**

*Czy od Boga pochodzi,*
*czy skądinąd wyrosła —*
*chętnie by ją podwładny*
*nieraz do diabła posłał.*

**CHORĄGIEWKA**

*Chorągiewka może*
*być w każdym kolorze:*
*choć kolor spłowieje*
*szmata wciąż się chwieje.*

**JEDYNY RATUNEK**

*Jedyny ratunek dla etyki —*
*nie mieszać się do polityki.*

**Jerzy Leszczyński**

## FILATELISTYKA

W 1981 r. poczta Argentyny wprowadziła do obiegu cztery znaczki dotyczące bezpieczeństwa w ruchu drogowym. Na znaczkach oprócz znaku drogowego, sygnałów świetlnych, jezdni z pasem dla pieszych, umieszczono napisy apelujące do kierowców i pieszych: Jedź ostrożnie. Nie oślepiaj. Uważaj na sygnały świetlne. Przechodź po białych pasach.

**Ze zbiorów Zbigniewa Lenartowicza**